

BIULETYN CARPE NOCTEM

NR 3/2011

ISSN 2084-0691



WSTĘPNIAK

Trzeci numer Biuletynu jest w pewnym sensie wyjątkowy. Przede wszystkim jest to pierwszy numer wydany po oficjalnym zarejestrowaniu naszego czasopisma. Może niewielki miało to wydarzenie wpływ na jego zawartość, ale zadziałało nobilitująco i mobilizująco na całą redakcję. Carpe Noctem zawsze patrzy w przyszłość i wyznacza sobie cele: przez długi, bardzo długi, a nawet przerażająco wręcz długi czas było nim uruchomienie nowej strony. Gdy mamy to już za sobą, chcielibyśmy teraz rozwinąć nasz Biuletyn tak, by kontynuował misję Carpe Noctem wśród internetowych czasopism – pokazywał, że o horrorze można mówić dużo, ciekawie i mądrze, a gatunek ten ma do zaoferowania znacznie więcej niż zwykli uważać niewtajemniczeni.

Dlatego w nowym Biuletynie wędrujemy w obszary, które często robią horrorowi czarny PR – makabrę i okrucieństwo – z zamiarem ukazania ich w bardziej pozytywnym świetle. Co to znaczy? Chcemy, żebyście dostrzegli w nich finezję, zabawę, symbolizm i setkę innych intrygujących aspektów, które mogą umknąć uwadze przy pierwszym zetknięciu się z cielesnym horrorem. Bo chociaż w mediach często pokutuje pogląd, że horror wyzwala w nas najgorsze instynkty, epatując przemocą, w istocie mówi się, że działa on wręcz na odwrót – oczyszcza nas z nadmiaru złych emocji, pozwalając w bezpieczny sposób przeżywać ciemniejszą stronę ludzkiej natury.

Dlatego zapraszamy Was do lektury pokłosa naszego sierpniowego konkursu na krwawą miniaturę grozy i mamy nadzieję, że zainspirowani naszymi artykułami spróbujecie spojrzeć na zawarte w nich elementy gore z odrobiną innej perspektywy. Nie bójcie się poszaleć z interpretacją, a zobaczycie, że ta pozornie niewysublimowana stylistyka może być naprawdę fascynująca, a jeśli po wszystkim zapragniecie spróbować własnych sił w cielesnym horrorze – pamiętajcie, że cały czas przyjmujemy teksty do publikacji na naszej stronie internetowej. Czekajcie też na wieści o kolejnych konkursach literackich.

AGNIESZKA BRODZIK

SPIS TREŚCI

ARTYKUŁY

CLIVE BARKER I OBSESJA CIAŁA	3
KREW DLA BOGÓW	5
DWUGŁOS O EDWARDZIE LEE	7

OPOWIADANIA

HAPPY BIRTHDAY, TOMMY	10
WERONIKA	12
SAMOTNOŚĆ WIKTORII	14
WYSYPISKO	16
SOLIDNA WYŻERKA	17
TATUSIU, OBIECAŁEŚ...	19
MONSTRA	21
RATUNEK	23
WŚRÓD KURZU I AKT	25
CHCIAŁBYŚ BYĆ NA NASZYM MIEJSCU?	27
UCZCIWA WYMIANA	29
CIAŁO DO CIAŁA	31
JEDNO	33

carpe noctem
www.CarpeNoctem.pl

REDAKCJA

Redaktor naczelna: Agnieszka Brodzik
redakcja: Paweł Mateja, Marcin Bukalski, Rafał Siciński, Paweł Szczepanik (skład i łamanie), Michał Budak (korekta)

e-mail: biuletyn@carpenoctem.pl

Wydawca: Agnieszka Brodzik, Toruń



CLIVE BARKER I OBSESJA CIAŁA

Agnieszka Brodzik

• • • • •

w doświadczeniu i psyche człowieka objawia się w formie mutacji ciała. To cielesny horror podszyty symbolizmem. Abstrahując zupełnie od kwestii literackiej wartości, której ciężko się doszukiwać w jego ostatnich dokonaniach – nad „HISTORIĄ PANA B.” wypadłoby spuścić zasłonę milczenia – Clive Barker z pewnością zasługuje na uwagę ze względu na swoje oryginalne podejście do literatury grozy, która u niego ma przede wszystkim wymiar wizualny, a jego ulubioną materią do tworzenia sztuki jest ciało.

Wyraźnie widoczne jest to w opowiadaniach z „KSIĄG KRWI”, gdzie często część odwołująca się do doznań wizualnych spycha fabułę na drugi plan – w „W GÓRACH, W MIASTACH” kulminacją opowieści jest przejście giganta zbudowanego z ludzkich ciał, a autor, zafascynowany własną wizją, nie dba zupełnie o to, by wokół tej wizji zbudować historię. Zostaje tylko obraz – przerażająco kreatywny i symboliczny, ale za to pozbawiony otoczki, która nadałaby mu kontekst i tworzyłaby to, czego zazwyczaj doszukujemy się w literaturze: historii, opowieści, narracji. Nie dając czytelnikowi możliwości poznania dalszej części historii, skupiając się wyłącznie na makabrycznej wizji, Barker nie udziela pozwolenia na przebudzenie się z koszmaru. Groza z tekstu się nie kończy, jedynie tracimy ją z oczu. Nie ma zbawienia, nie ma powrotu do normalności, nie ma happy endu. Zło nie zostaje pokonane. Co więcej – nie ma tutaj jasno wytyczonych granic między czernią i bielą. Nie ma potwora, z którym trzeba walczyć i go pokonać. W wywiadzie dla Strange Horizons (www.strangehorizons.com) z 2009 roku Barker mówi: „Prawda jest taka, że otaczają nas odcienie szarości. Każdy miewa mroczne dni i mroczne sekrety. Każdy. Bez wyjątków.”

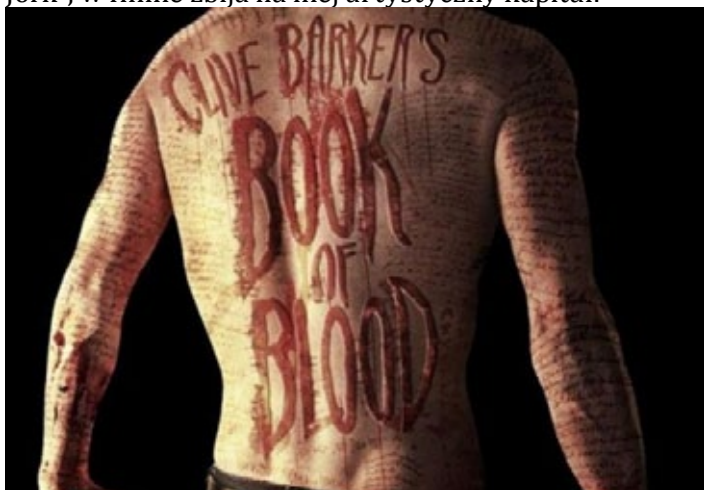
Dla Barkera ciało często stanowi metaforę, co wpisuje się w jego umiłowanie do symbolizmu. Tak samo jak we wspomnianym opowiadaniu „W GÓRACH, W MIASTACH”, Nowy Jork w „NOCNYM POCIĄGU Z MIĘSEM” też jest ciałem, które musi dostać swoją strawę. Mahogany jest niczym kapłan służący starym bogom (charakterystycznie dla Barkera są to raczej obrzydliwe kreatury niż duchowe byty), który przygotowuje w czasie przewrotnie finezyjnego i wręcz sterylne rytuału ludzkie ciała, stanowiące strawę dla jego panów. Ciekawym zabiegiem jest też podkreślenie cielesności, a poprzez to śmiertelności Mahogany’ego – inny autor być może nadałby mu właściwości nadnaturalne, ale

Historia literackiego horroru w kwestii obrzydliwości może pochwalić się kilkoma przodownikami pracy. Z wyrabiania dwustu procent normy od zawsze słynął Clive Barker, który zawładnął wyobraźnią czytelników swoimi „KSIĘGAMI KRWI”, a widzów – serią „HELLRAISER”, która na stałe wpisała się w kanon mocno anty-mainstreamowego horroru. Wystarczy porównać klasyka grozy wstępu do większości najbardziej znanych ekranizacji książek Stephena Kinga i w zasadzie na pierwszy rzut oka widać, jak różną stylistykę przyjęli filmowcy – o ile „CHRISTINE” czy nawet dość mroczny „SMĘTARZ DLA ZWIERZAKÓW” mógłby śmiało posłużyć za horrorowe kino rodzinne, „HELLRAISER” obejrzeć zdołają tylko wybrańcy.

Obrzydliwość u Barkera nigdy nie jest wartością samą w sobie – w jego wstrętnych wizjach urzeka drugie dno: ludzka psychika, podświadomość ujawniająca się w zewnątrz. Dla niego większość zmian

Barker postanowił tym mocniej podkreślić jego człowieczeństwo poprzez ukazanie „żywalności” jego ciała. W filmie zostało to rozwinięte w trochę inny sposób, podobnie zmieniono też postać fotografa, który nie jest już niemal niewinną ofiarą, ale ogarnięty freudowskimi pragnieniami śmierci sam coraz głębiej wciąga się w całą historię.

Jednocześnie Barker pokazuje nam ciekawą opozycję rzemieślnika i artysty, odwołując się w ten sposób do charakterystyki horroru, który jako gatunek literatury popularnej często oscyluje na granicy sztuki i taniej rozrywki, co rusz posądzany – słusznie czy niesłusznie to już materiał na zupełnie inną dyskusję – o zaspokajanie bardzo niskich potrzeb widzów czy czytelników. I właśnie najczęściej w tym kontekście pojawia się kwestia przysłówiowych „krwi i flaków” – to horror cielesny, który z powodzeniem uprawia m.in. Barker, Ketchum czy ostatnio zyskujący popularność u nas Edward Lee, ma najgorszą chyba opinię wśród mainstreamowych krytyków. Tymczasem Barker ciągle widzi w tym sztukę. W opowiadaniu to Mahogany uosabia obie idee – jest jednocześnie rzeźnikiem i rzeźbiarzem. Z kolei w ekranizacji widzimy fotografa i właścicielkę galerii, którzy dostrzegają w brudzie i przemocy miasta materiał na efektowne zdjęcia. Choć u Barkera Leon „nie potrafił czerpać zadowolenia z choroby toczącej Nowy Jork”, w filmie zbija na niej artystyczny kapitał.



W bardzo dosłowny sposób kwestię sprowadzenia człowieka do mięsa potraktował Barker w opowiadaniu „BLUES ŚWIŃSKIEJ KRWI”, gdzie jeden z bohaterów ma posłużyć za posiłek dla wielkiej maciory (trochę zabawne odwrócenie powiedzonka o człowieku gorszym od świni). Barker podaje nam temat ludożerstwa w symboliczno-religijnym opakowaniu z wyjątkowo bluźnierczą w tym kontekście postacią świni jako przedmiotu kultu. Oto widzimy chłopców z ośrodka wychowawczego, składającego w geście ofiarnym swojego przyjaciela. Barker oczywiście nie byłby sobą, gdyby na koniec trochę nie namieszał i nie zaserwował małego komentarza na temat podobieństwa między człowiekiem, a świnią, zacierając granice między jednym i drugim. Co ciekawe, Barker nie rezygnuje z kanibalizmu i najpierw swojej maciorze każe zjeść bekon, podany na przykrytej muślinem tacy, a potem tworzy

krótką – bo po raz kolejny przerwana w kulminacyjnym momencie, by czytelnik nie miał szansy poznać uwalniającego z koszmaru zakończenia – scenę nadgryzania ciała głównego bohatera.

W „KSIĘDZE KRWI” Barker przywołuje jeszcze jedną płodną metaforę – ciało jako tekst: „Każy z nas jest krwawą księgą. Gdziekolwiek się nas otworzy, jesteście czerwoni.” W opowiadaniu tym ciało przyjmuje formę literatury – profanum staje się sacrum, niska forma przechodzi w wysoką w kontakcie ze sferą duchową. W opowiadaniu „KRWAWA KSIĘGA” ciało człowieka jest łącznikiem między naszym światem, a światem umarłych. Duchy na ciele młodego chłopaka wypisują swoją historię – jest to bardzo dosłownie rozumiana metafora, w której z ciała

WSZYSTKO PODSZYTE JEST TEŻ EROTYKĄ I SENSUALIZMEM – KOLEJNY TYPOWY ZABIEG BARKERA.

człowieka można odczytać dzieje jego życia. W tym przypadku z braku własnych, duchy posiłkują się ciałem młodego mężczyzny. Tutaj objawia się inność i odwaga Barkera, o której we wstępie do zbioru pisze Campbell – dotychczas sfera duchowa zdawała się czymś przeciwnym sferze cielesnej, a jednak u Barkera duch (freudowska podświadomość?) zadaje gwałt ciału, odciskając na nim swoje bardzo dosłowne piętno.

Mocno jest to związane z cechą charakterystyczną pisarstwa Barkera – symbolizmem. Bardzo wyraźnie zarysowane jest to w jego opowiadaniach, ale nie znika też w powieściach. Wszystko podszyte jest też erotyką i sensualizmem – kolejny typowy zabieg Barkera. Nie można pisać o brytyjskim twórcy i ani słowem nie wspomnieć o nieustannie przewijającej się w jego twórczości erotyki. Ten temat od zawsze nierozdzielnie związany jest z ciałem. Wspomnieć należy również o orientacji seksualnej pisarza, który jest nie tylko zdeklarowanym gejem, ale także nie stroni od gejowskiej miłości w swojej twórczości. Jest obecna w omawianym już „W GÓRACH, W MIASTACH”, jej echa dostrzec można też w „BLUESIE ŚWIŃSKIEJ KRWI”. Jednak Barker nie stroni również od bardziej klasycznej erotyki w wykonaniu ludzi o odmiennej płci. Z drobnymi „udziwnieniami” oczywiście. W „SEKSIE, ŚMIERCI I ŚWIEŁE GWIAZD” pokazuje seks oralny w wykonaniu najpierw żywej i oddychającej, a potem już o połowę bardziej martwej pary. W opowiadaniu „JACQUELINE ESS: JEJ WOLA I TESTAMENT” przedstawia prostytutkę obdarzoną szczególną umiejętnością modyfikacji ludzkiego ciała za pomocą czystej woli umysłu, która dzięki niej potrafi wprowadzić mężczyznę na wyżyny rozkoszy – niestety ta zawsze kończy się śmiercią.

To oczywiście tylko część motywów charakterystycznych dla twórczości Barkera, a przykłady pochodzą w zasadzie wyłącznie z jego „KSIĄG KRWI”, ale już po tym krótkim wstępie do analizy jego pisarstwa widać, jak wielką ma obsesję na punkcie ludzkiego ciała. Przewija się ono wszędzie – dla niego nawet piekielne męki mają wymiar cielesny, a nie duchowy, co wyraźnie widać w „HELLRAISERZE”.

● ● ● ● ● ● ● ● ● ●

KREW DLA BOGÓW

Marcin Bukalski

• • • • •



Ofiary z ludzi - szczególnie z ich krwi - były dla naszych przodków czymś niemal na porządku dziennym. Krew symbolizowała życiodajną siłę, ofiara z niej była najcenniejsza i podobała się bogom najbardziej. Dziś takie praktyki szokują i wywołują oburzenie – należy jednak pamiętać, że obecnie ziemia jest oswojona. Posiadamy zaawansowane techniki i środki do jej ujarzmania, nawet najtrudniejszych warunkach na różnych szerokościach geograficznych. Setki lat przed nami siły przyrody utożsamiane były z bóstwami, a ludzie postawieni pod groźbą suszy, nieurodzaju czy wojny potrafili być zdolni do wszelkich okropieństw i mordów, żeby tylko uratować swoje państwo, osadę czy plemię. Z czasem krwawe rytuały przechodziły do rutynowych praktyk, często pozbawionych głębszego znaczenia – czyniono je „na wszelki wypadek” lub by pokazać swoją władzę i umocnić jej pozycję. Specjaliści są jednak zgodni co do genezy składania ofiar z ludzi: doprowadzał do tego długotrwały stres i poczucie zagrożenia.

Cywilizacje mezoameryki przez wiele lat były uważane za ludy pokojowe i łagodne. Historycy w XX wieku szybko zrewidowali ten błędny pogląd - okazało się, że ziemie Majów czy Azteków regularnie zalewane były potokiem ofiarnej krwi. Na długo przed pojawieniem się Inków w Peru, obszarami tymi władała tak zwana kultura Moche. Ci twórcy gigantycznych piramid Słońca i Księżyca borykali się z jednym problemem – brakiem deszczu. Kapłani Moche wierzyli, że krew może przywołać opady. Przez ponad 500 lat panowania tej kultury złożono w ofierze tysiące ludzi, przez podcięcie gardła ceremonialnym nożem Tumi. Krew tryskająca z przeciętych tkanek i tętnic zbierana była do kielicha, i wypijana przez kapłana – prawdopodobnie w ten sposób miała stać się „pokarmem” bogów.

W innym miejscu Ameryki Południowej, na półwyspie Yucatan około 250 lat p.n.e. rozpoczął się pełny rozkwit cywilizacji Majów. Wierzyli oni, że ich bóstwa pragną ludzkiej krwi - gdy jej nie dostaną,



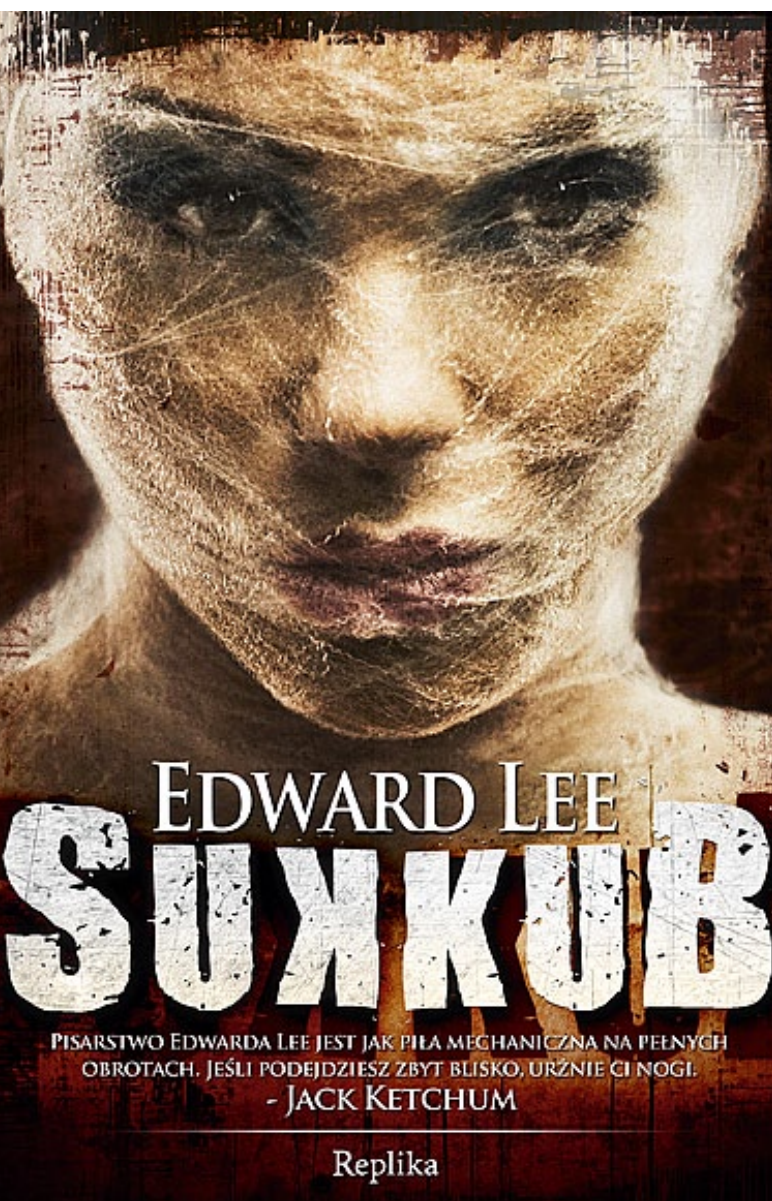
Najczęstsza praktyką Azteków przy składaniu ludzkich ofiar było układanie nieszczęśnika na ołtarzu danego bóstwa, rozcinanie klatki piersiowej obsydianowym ostrzem i wrywanie jeszcze bijącego serca. Szczątki poświęconych ludzi bywały potem często spożywane na ucztach jako symbol połączenia się z bogiem. Zdarzały się też dużo bardziej wyszukane

formy składania ofiar poszczególnym bóstwom. Ludzie mający być poświęceni bogowi ognia Huehuetetlowi, zostawali wrzucani w płomień, po czym poparzonym, wciąż żywym ofiarom wrywano serca. Z kolei podczas uroczystości poświęconym bogu roślinności Xipe Totekowi, jeńcy ginęli od strzał wypuszczonych z łuku, a następnie byli obdzierani ze skóry, które to następnie zakładał kapłan jako znak odnowy natury. Niekiedy ofiary były też zwyczajnie topione – jako swoistą prośbę o deszcz, a kobiety były sporadycznie ścinane – prawdopodobnie jako symbol zbioru głów kukurydzy. Szacuje się, że w czasie jednorazowej Azteckiej ceremonii mogło ginąć tysiące osób.

Praktyki rdzennych mieszkańców Ameryki nie były jednak odosobnione: na rodzimym, Europejskim gruncie także można było spotkać wiele rytuałów, z dzisiejszego punktu widzenia po prostu barbarzyńskich. Szczególnie wśród plemion skandynawskich, które najdłużej opierały się chrześcijaństwu, można było spotkać obrzędy, gdzie składano ofiary z ludzi. Najbardziej krwawym rytuałem wikingów, który jeszcze do niedawna funkcjonował jako okrutna legenda, jest ceremonia tak zwanych „krwawych orłów”. Była to ofiara dla króla bogów – Odyna za sukcesy w potyczkach.

Istnieje kilka wersji jak mógł przebiegać ten obrzęd. Według najbardziej popularnej, choć obecnie wykluczonej, ofierze wycinano na plecach płaty skóry, po czym odsłaniano kręgosłup i odciągano żebra na boki. Na koniec wyciągano płuca, które wyglądały jak wielkie, krwawe skrzydła. Ofiara miała być cały czas świadoma – skrapiano jej twarz słoną wodą. Tę niewątpliwie „malowniczą” wersję odłożono jednak na bok. Wedle dzisiejszej wiedzy, człowiek poddany takim torturom zmarłby w czasie trwania rytuału. Bardziej prawdopodobną oraz zgodną z medyczną wiedzą jest za to wersja, w której odcinane są płaty mięśni razem z kością łopatki, po czym odciągane na bok tak, że wyglądały jak okrwawione skrzydła. Po dokonaniu obrzędu, jeniec był pozostawiany by konał przez wiele godzin – im większe cierpienie, tym ofiara miłsza bogu.

W zasadzie w każdej kulturze, na każdej szerokości geograficznej można było spotkać, podobne, mniej lub bardziej odrażające praktyki. W Japonii znana jest historia Hitobastury – ludzkiego filaru, którym były dziewice zakopywane żywcem pod filarami domów, jako ochrona przed klęskami żywiołowymi. Wśród wielu plemion, można było obserwować zwyczaj zabijania na pogrzebie żon czy służby tak, żeby mogli pełnić posługę także po drugiej stronie. Indie po dziś dzień mogą się „poszczycić” nieludzkim sposobem pozbywania się żon, wdów i samotnych kobiet – głównie przez celowe podpalenia. Starożytni Kanaaniejczycy składali w ofierze bogu Baalowi setki noworodków, które ginęły w płomieniach. Chrześcijaństwo pochłonięło niezliczoną ilość ludzkich istnień, podczas krucjat i inkwizycji. Przypadki rytualnych mordów można mnożyć bez końca, pomijając nawet współczesne szaleństwa w postaci różnorodnych sekt i rytualnych seryjnych morderstw.



Paweł Mateja: Chyba się nie pomyłę, pisząc, że pierwszy raz Edward Lee został wprowadzony do polski dziesięć lat temu, przy okazji antologii "999", gdzie znalazło się jego znakomite opowiadanie "Oddział zamknięty". Później nastąpiła dziesięcioletnia (!) cisza, po której wydano "Sukcuba" oraz opowiadania "Matka" (w "15 bliznach") i "Stół" (na Horror Online). Kolejne publikacje są zapowiadane dosyć efemerycznie, ale możemy być o nie raczej spokojni. Wydaje się, że w końcu coś "zaskoczyło" i mistrz makabry nie będzie w naszym kraju traktowany marginalnie. Zwłaszcza, że właśnie zapowiadano jego wizytę na przyszłorocznym Polconie, co optymistycznie uznałbym za przypiętowanie powyższych słów.

Ile razy mieliśmy już możliwość czytania wszelakich "speców od flaków", nie będę nawet liczył. Od kiczowatych elukubracji Guy'a N. Smitha, Shauna Hutsona poprzez kultowego Grahama Mastertona aż do wulgarnego, ale ogromnie wrażliwego Jacka Ketchuma. Nie przypominam sobie jednak, by ktoś z nich równie znakomicie operował przemocą, jednocześnie pisząc intensywnie i potrafiąc puścić do czytelnika oko.

Paweł Szczepanik: Nie zapominaj, że jeszcze wiele przed nami, do dzisiaj w Polsce nie ukazała się żadna powieść Richarda Laymona, którego stawiałbym gdzieś

DWUGŁOS O EDWARDZIE LEE

Paweł Mateja, Paweł Szczepanik

• • • • •

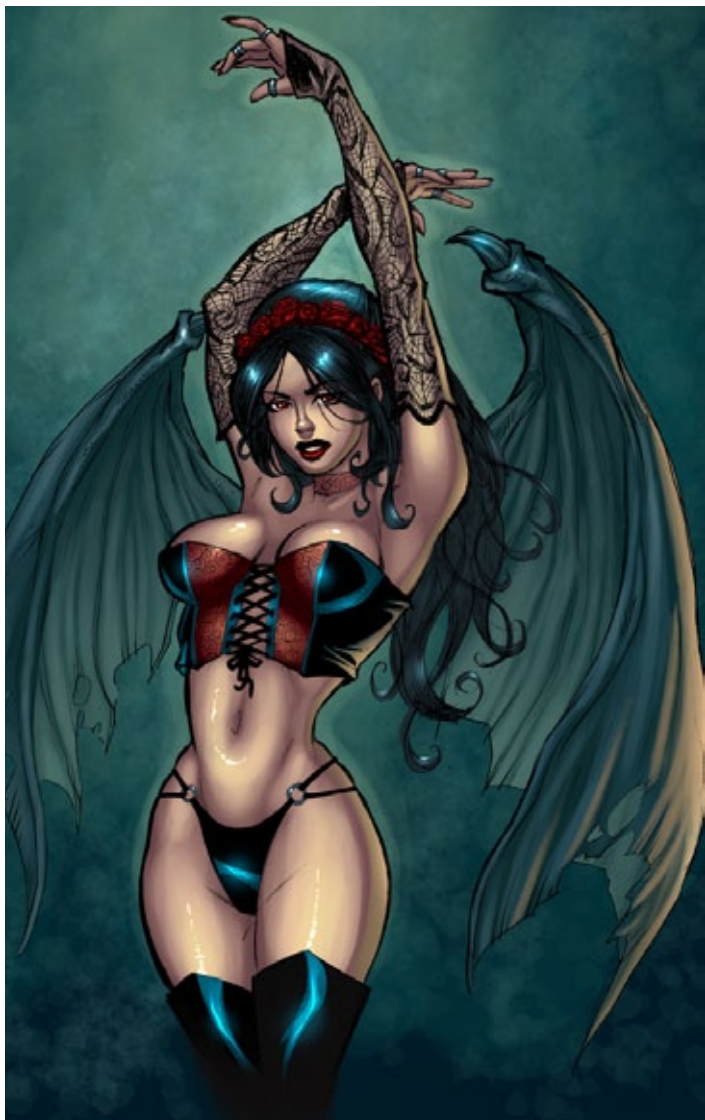
między Ketchumem a Lee, nie we własnym rankingu, ale w literaturze, jaką sobą reprezentuje. Łączy wrażliwość i podejście psychologiczne Ketchuma z dosłownością i makabrą Lee. Szkoda, że już nic więcej nowego nie napisze. Warto też przypomnieć, że dużo powieści z gatunku bizzaro fiction operuje flakami ;)

Ale wracając do Lee, mamy go na polskim rynku i należy się z tego powodu ogromnie cieszyć. Dopełnił niszę, w którą wstrzelił się Ketchum ze swoją powieścią "Dziewczyna z sąsiedztwa". Zastanawiam się, na ile nadszedł czas na takie powieści u nas, czy była to następna kolei rzeczy? Czy Lee uzyskałby status kultowego, jeżeli pojawiłby się u nas na początku lat '90 za sprawą wydawnictwa Amber czy Phantom Press?

PM: Na pewno wrażliwość czytelnicza ludzi wyrosłych na stosach powieści G. N. Smitha, Jamesa Herberta i Knighta mogłaby zupełnie inaczej ukształtować się w kontakcie z Ketchumem czy Lee. Oczywiście, przez te wszystkie lata wydano w naszym kraju mnóstwo znakomitej literatury grozy, ale zazwyczaj wizualnie te książki kojarzyły się z literaturą nieszczerze wysoką. Wydaje mi się, że w ostatnich latach nastąpił ogromny skok jakościowy w podejściu zarówno do polskiego, jak i zagranicznego horroru. Więcej jest pietyzmu w stosunku do tych publikacji i - co istotne - rozwój mediów społecznościowych umożliwił o wiele lepszy kontakt na linii wydawca-czytelnik. Okazało się, że czekamy już nie tylko na nowe "Koontze i Kingi", ale że czytelnicy oczekują coraz szerszej oferty. Nowe nazwiska przyjmują się coraz lepiej, budzą dyskusje. Czekamy na nowe powieści Ketchuma, Campbella czy Lee z niecierpliwością - może nie tak ogromną, jak w przypadku fanów Stephena Kinga - ale wystarczającą, by okazało się, że to się zwyczajnie opłaca.

Ad rem. "Sukcub", o którym miała być tutaj przede wszystkim mowa, to nie literatura wyższa - jak mogłoby się zdawać, powyżej imputuję. Tym niemniej zdecydowanie jest to horror z wyższej półki. Brutalne i wręcz nieludzkie praktyki seksualne, których opisy wypełniają wcale sporą część powieści nie stanowią

same w sobie o jej atrakcyjności. Tak jak Ketchum gra na wrażliwości czytelnika na cierpienie – bardzo głębokie i osobiste (vide „Dziewczyna z sąsiedztwa”), tak Lee tworzy na jej kanwie wielowarstwowe struktury stanowiące o nastroju powieści. Przemoc i seksualne wyuzdanie to narzędzie, nie cel sam w sobie. Nie wiem, na ile się z tym zgodzisz, ale ja muszę przyznać, że kilka razy w trakcie lektury zdarzyło mi się nieomal odlecieć w co bardziej obłądnych momentach. Tak głęboko potrafiłem wczuć się w tekst (którego *nota bene* wstydzilibym się czytać na głos), że gdy kończyła się dana scena, dosłownie czułem się jak obudzony ze snu. Nie służy tutaj przemoc prostemu zgoła zadaniu testowania dobrego smaku i wrażliwości na flaki – i to poczytuję Lee za ogromną zaletę!



PSZ: Nie traciłem kontaktu z rzeczywistością, aż tak lektura mnie nie pochłonięła. Ale fakt, te mocniejsze wstawki mają dosyć oniryczny, surrealistyczny klimat i odpłynąć jest łatwo. Niemniej, mimo że trzymałem się tu i teraz, to często łapałem się na myśli: *to nie jest normalne*. Książkę czytałem samotnie, aby ktoś przypadkiem nie zajrzał mi przez ramię. Ciężko to wytłumaczyć, prawie jakbym oglądał zakazane czasopisma w młodości ;) Z tego co wiem, niektórzy mieli okazję czytać „Sukkuba” w komunikacji miejskiej, w drodze do pracy, na studia – to dopiero przeżycie.

Przypadkowa osoba może odnieść błędne wraże-

nie, że ta książka to tylko seks i flaki, zwłaszcza czytając internetowe recenzje, gdzie głównie ten aspekt jest poruszany. Może i jest w tym trochę prawdy, w końcu temat biuletynu to „krew i flaki” i szeroko rozumiana cielesność, więc z takich a nie innych względów padło na powieść Lee. „Sukkub” s z o k u j e, bo są osoby nieprzyzwyczajone do tego typu literatury. Ale jak zauważyłeś, przemoc i jego pochodne są środkiem do celu, a ten udało się osiągnąć. Powieść z jednej strony fascynuje, jak i odpycha, bardziej chyba liczą się emocje, jakie towarzyszyły lekturze niż sama historia – a ta, powiedzmy, przypomina Mastertona, ale „level up”. Szukając analogi, mogę ją odnaleźć tylko na taśmie filmowej, takie obrazy jak „Błady strach” czy „Najście” wywołały u mnie podobne emocje. Niby nic, scenariusze jakich wiele, ale świetne zdjęcia i montaż oraz genialna muzyka wprowadzały w nastrój, który ciężko opisać osobie niemającej styczności z tymi filmami. Tak samo jest z powieścią Lee, współgra doskonale na kilku poziomach – klimat, język, bohaterowie (zwłaszcza ci źli), napięcie; ale zawodzi fabularnie – tutaj nie wiem, czy nie będziesz we mnie rzucał gromami.

PM: Nie będę ani rzucać, ani zarzucać nic pod tym względem powieści. Fabuła nie jest jej najmocniejszą stroną, ale o jakimkolwiek zawodzie z mojej strony nie było mowy. Historia z „Sukkuba” i jej prowadzenie jest dla mnie wręcz wzorcowe. Niby schematy w niej wykorzystane same w sobie są już dobrze znane, ale sposób ich użycia zasługuje na aplauz. Próbuję sobie wyobrazić, jak z podobnym konceptem poradziliby sobie koledzy po fachu Lee i – szczerze mówiąc – trudno mi wyobrazić sobie, by którykolwiek zagrałby to równie sprawnie. Bo dla mnie „Sukkub” jest wręcz wzorem tego, jak powinno się pisać horror, który nie stara się przesadnie wykraczać poza swoje własne ramy. Nie sili się na przesadne ambicje ani poszerzania granic gatunku, zamiast tego pokazuje, jak taki horror czystej krwi winien wyglądać.

Osobną kwestią jest samo zakończenie powieści – jedno z najlepszych, jakie w długim czasie czytałem. Wszelkie epilogi i finały są piętą achillesową niejednego twórcy horroru. Autorzy często idą w banał, happy end czy cikliwość, lądują łagodnie. Lee inaczej, daje zakończenie jednocześnie spinające całość historii i na tyle otwarte, by działało na wyobraźnię. Przy tym ostatnie strony są przygnębiające, zostawiają czytelnika i bohaterów sam na sam ze złem, które zostało uczynione. Może tym gadaniem zepsuję nieco lekturę osobom, które jeszcze nie mają za sobą „Sukkuba”, ale moim zdaniem nie sposób o tym finale nie mówić.

Mówi się o Edwardzie Lee, że wielką inspiracją jest dla niego H. P. Lovecraft – o ile w całej powieści większego wpływu Samotnika z Providence nie wyczuwałem, o tyle w zakończeniu był znakomicie widoczny – nie bezpośrednimi nawiązaniami do jego twórczości, ale raczej samym nastrojem i sposobem puentowania, które nie ma nic wspólnego z happy-endem.

PSZ: W sieci można bardzo łatwo znaleźć zdjęcie Edwarda Lee w koszulce z H. P. Lovecraftem. To nie może być w końcu przypadek ;) A zakończenia nie ma co

się czepiać, ja nie mam zamiaru. Perfekcyjnie rozegrane i bardzo satysfakcjonujące. Pozostawia czytelnika samu sobie z kłębiącymi się myślami, o tym co przed chwilą przeczytał. O ile dobrze pamiętam, sam tylko epilog przeczytałem z trzy razy, aby nasycić się każdym zdaniem. Zastanawiam się co powiedział wydawca oryginalnego wydania, a raczej, co sugerował jej redaktor. Jeżeli Jack Ketchum na Dniach Fantastyki we Wrocławiu wspominał, że musiał zmienić zakończenie "Poza sezonem", aby książka w ogóle ukazała się w druku, to jakie ultimatum dostał Lee? I tak, chcę przez to powiedzieć, że powieść Lee jest zdecydowanie mocniejsza. Czy dwanaście lat, jakie dzielą te dwie książki, aż tak bardzo zmieniły rynek i zapotrzebowanie na mocne wrażenia? U nas ten okres był krótszy, ale też odczekaliśmy swoje, zanim obie pozycje ukazały się w druku w Polsce.

Jak już wspominałem, mi jednak fabuła nie podeszła, może to moje uprzedzenie do starodawnych kultów i demonów, tajemniczych sekt, kultystów i krwawych obrzędów – wolę mimo wszystko bardziej przyziemne rzeczy. Ale też jest to tylko drobna skaza na tej wyjątkowo udanej książce. Pozostaje tylko czekać na wakacje 2012 i udać się do Wrocławia z "Sukkubem", aby zdobyć autograf i osobiście porozmawiać z pisarzem. A chodzą słuchy, że do tego czasu ukążą się już dwie następne książki pisarza.

PM: Ja również mam nadzieję na Lee po trzykroć w przyszłym roku i myślę, że dla ogółu fanów horroru w Polsce będzie to duże wydarzenie. Mam też nadzieję, że szybko osiągnie on u nas popularność porównywalną z Ketchumem – który nie dość, że wydawany jest już przez dwa wydawnictwa, to jeszcze kolejne jego tomy zapowiadane są, gdy poprzednie jeszcze nie zostały przez czytelników skonsumowane. A co do brutalności, to mimo przekraczania przez pisarzy kolejnych granic, mimo iż nasza wrażliwość poddawana jest coraz to kolejnym próbom, które siłą rzeczy nieco ją stępiają, mimo tego opisy w powieściach wspomnianych tutaj pisarzy wcale się nie zestarzały. W "Poza sezonem" Ketchuma trudno u współczesnego czytelnika o zachwyt nad ograną i błahą fabułą, ale kanibalistyczne i brutalne opisy rzezi potrafią nadal mocno ścisnąć żołądek. Tak samo jak makabryczne orgie w "Sukkubie" mają w sobie niesłabnącą chyba moc.

Dwanaście lat dzielące wspomniane przez Ciebie publikacje z pewnością były okresem ewoluowania horroru, ale niezależnie od tego, czy sięgniemy po publikacje z początku dwudziestego pierwszego czy dziewiętnastego wieku, horror zawsze obraca się wokół kilku podstawowych zagadnień, zwłaszcza wobec człowieka – jakkolwiek trywialnie by to zabrzmiało. A to, co Lee wyprawia z człowiekiem – zarówno jego ciałem, psychiką jak i duszą – jest co najmniej przerażające. I tym samym godne uwagi, co można chyba uznać za puentę tej rozmowy.

● ● ● ● ● ● ● ● ● ●



HAPPY BIRTHDAY, TOMMY

Marek Ścieszek

Dłonie, którymi zasłaniam twarz, drżą nieznacznie – być może nadal pamiętają to, co się wydarzyło przed laty na farmie mego ojca. Pamięć szczątkowa, zakodowana poniżej mych nadgarstków. Oddech mam płytki i szybki. Rwie się na strzępy, ulatując z płuc i rozptylając się w powietrzu, niczym dym z ogniska. Boję się, choć strach mój nie ma sprecyzowanej postaci. Pewnie właśnie dlatego nie odsuwam dłoni od twarzy. Zasłona z palców oraz opuszczone powieki dają mi złudzenie bezpieczeństwa. Bez powodzenia.

Słyszę dźwięk. Obcy. Nienaturalny w miejscu, w którym przebywam. Przez moje ciało przechodzi dreszcz przerażenia. Bezwiedny jęk wydobywa się spod moich warg. Nie mogę. Nie potrafię oprzeć się gwałtownej potrzebie opuszczenia dłoni. Niepewność jest gorza od wiadomego. Opuszczam je więc.

Pomiędzy dredami mopa a wiadrem z plastikową wyżymaczką coś się porusza. Nieznaczny ruch przyciąga moją uwagę. W jednej chwili przestaje się liczyć cokolwiek, poza lekkimi drgnięciami, mogącymi równie dobrze być rzeczywistością, jak i efektem pobudzonej wyobraźni, złudzeniem.

Mrugam kilkakrotnie, za każdym razem z całej siły zaciskając powieki, by pozbyć się omamów. W moim kierunku kroczy odcięta dłoń. Ogromna, włochata niczym pająk, napuchnięta niemalże do rozmiarów orzecha kokosowego, wydaje się zbyt masywna, by mogły ją unieść kruche odnóża palców. Cięży ku podłodze, tłusta, odpychająca. Nie mam najmniejszych wątpliwości, gdzie znajduje się jej cel. Przestrzeń, dzieląca dłoń ode mnie gwałtownie się zmniejsza, jeszcze tylko kilkadziesiąt centymetrów i będzie mogła wypełznąć na mój kapeć, a stamtąd...

Pojawiają się nowe. Jedna za drugą. Dziesiątki, setki napuchniętych, sinych członków podejmuje trop swego przywódcy. Obrzydzenie i strach odbierają mi możliwość ruchu. Nie sądzę, abym był zdolny do ucieczki. Zdany na łaskę i niełaskę, mogę tylko patrzeć. Nie mogę natomiast krzyczeć.

Zakończone popękkanymi, pożółkłymi paznokciami palce badają już nosek prawego kapcia. Wkrótce poczuje ich delikatny dotyk na skórze. Przerażenie emanuje każdym porem mego ciała. Dłoń zdaje się je wyczuwać. Napawa się jeszcze chwilę feromonami strachu, po czym powoli wdrapuje się wyżej. A za nią kolejne, jedna za drugą. Wkrótce pokrywają mnie już całego.

Czuję je. Wspinają się, nieubłagane niczym Erynie. Zdławiony jęk jest jedynym dźwiękiem, zdolnym się precyzyjnie przeczucić przez zaciśnięte gardło. Materiał, z którego wykonana została moja koszula, faluje i wybrzusza

się. Jak przedostały się przez barierę z zaciśniętego paska? Nie wiem. Nie zaprzęta to mego umysłu, bowiem upiorne insekty są już na wysokości piersi.

Zezuję w kierunku połóżnionego kołnierzyka i widzę je. Dwa drżące opuszki poniżej mojego podbródka. Poruszają się, badają drogę, po czym śmiało opierają się o dolną wargę. Za nimi pojawia się reszta.

Łapię kurczowo oddech, niemalże nieprzytomny z przerażenia. Dłoń powoli, jakby z obawą, zanurza się w wilgotnej, ciemnej jamie mych ust.

Pukanie do drzwi wyrывa mnie z majaków. Zwidy rozptylają się w powietrzu. Nie znika jednak wciąż żywe wrażenie ich dotyku.

– Tommy. Zasnąłeś tam?

To Martha. Moja żona.

Oddycham głęboko, pozwalając spłynąć resztkom omamów. Otrząsam się niemalże, jak pies po wyjściu z wody. Przytomnym, ale niebezpiecznie drżącym głosem odpowiadam:

– Już wychodzę.

– Pośpiesz się – mówi, akcentując słowa postukiwaniem paznokciami w drzwi. – Przebierz się i do stołu. Jesteśmy już wszyscy gotowi.

– Idę.

Czekam chwilę, wsłuchując się w dźwięki spoza mego małego władztwa. Słyszę ją jeszcze, jak oddycha tuż za drzwiami, niecierpliwiać się i pewnie się denerwując. Niespełna pół minuty później rozlega się nikły szmer jej kroków. Wzdycham i wstaję, opierając się lewą ręką o ścianę. Na drżących nogach kieruję się w stronę zlewu. Odkręcam wodę i spryskuję sobie twarz, czując jak wraca pełna przytomność umysłu.

– To tylko przywidzenie – próbuję przekonać samego siebie i niemalże mi się to udaje. Zakręcam wodę i wycieram twarz suchym ręcznikiem.

Jestem gotów do zmierzenia się z rzeczywistością.

Przebrany, czysty, pachnący wodą kolońską, stoję przy suto zastawionym stole. Obok mnie stoi Martha a po jej lewej ręce jej rodzice – przyjechali dwie godziny temu z Wschodniego Wybrzeża, sprawiając nam ogromną niespodziankę. I wyglądało na to, że mają zamiar zostać na kolację. Założę się, że Ktoś teraz siedzi, tam, wysoko w górze – o ile w ogóle istnieje jakiś Ktoś – i rechocze, setnie ubawiony. Tylko, że ja jakoś nie podzielałem Jego wesołości. Urodziny to rodzinne święto, owszem, jednak rodzina tak naprawdę kończy się na ludziach, z którymi trzeba mieszkać. Dalsi krewni, to już tylko znajomi.

Dzieci stoją naprzeciwko, po drugiej stronie stołu. Dziesięcioletni syn Timmy, i sześciolatnie bliźniaczki,



2 miejsce w konkursie
na „miniaturę grozy”

WERONIKA

Piotr Marks

Patrzę na płatki śniegu opadające za oknem na uśpione miasto, marząc, aby ktoś ochłodził kilogramami lodu mojego obolałego kutasa. Odruchowo kurczę się w sobie, starając się sprawić, że w jak najmniejszym stopniu będzie się on ocierał o spodnie i majtki. Już nie wiem, czy tak płonie w nim żądza, czy otarcia; czy te lepkie coś między nim a jajami to płyn preejakulacyjny, czy krew pomieszana z ropą. Przykładam czoło do chłodnej szyby i staram się myśleć o zimie.

Czekam na Emila. Emil wyszedł parę godzin temu i nie wrócił. Znamy się od dziecka i już wtedy lubił znikać na kilka dni, ale teraz martwię się, bo wziął moje pieniądze. Osiemset złotych na Weronikę. Ona jeszcze oczywiście nie nazywa się się Weronika, w ogóle się pewnie nie nazywa, ma tylko jakiś fabryczny numer, ale jak tu się tylko pojawi, to przytulę ją i powiem „Witaj, od tej chwili masz na imię Weronika i będziesz moją dziewczyną”. Tak, dałem Emilowi kasę, żeby kupił mi dmuchaną lalę z seks shopu, ale on gdzieś zniknął i coraz bardziej boję się, że nie wróci.

Najbardziej wkurwiające jest to, że to właśnie on zaproponował mi cały interes. Emil jest moim jedynym przyjacielem i dobrze wie, że jestem bardzo, bardzo nieśmiały i że w życiu spałem tylko z nastolatką, którą znalazłem pijaną w pobliżu pewnej dyskoteki. Powiedziałem o tym Emilowi, dodając, że było super i zamierzam spróbować szczęścia w następny weekend, a on odpowiedział, że jestem pojebany i że wsadzą mnie do paki, gdzie kilkanaście chujów będzie mi codziennie orać dupę, jeśli nie wetknę sobie w niej żyłki. „Kup sobie zamiast tego dmuchaną lalę” - zaproponował. „Ale nie będę potrafił pójść do sklepu i poprosić o coś takiego” - odpowiedziałem. „Daj mi pieniądze, to zrobię to za ciebie” - rzucił od niechcenia, a ja go posłuchałem.

Posłuchałem go i teraz żałuję. Chce mi się pieprzyć. Pieprzyć, pieprzyć, pieprzyć. Siadam na kanapie, opuszczam portki i próbuję po raz kolejny zwalić sobie konia, ale nie jestem w stanie nawet obciągnąć napletka. Zerkam na fiuta tylko kątem oka i widzę, że jest prawie czarny, że z jego czubka zwisa pomarańczowa nitka. Nie chcę wiedzieć, czemu zawdzięcza swój kolor. Chcę tylko znowu położyć się na kimś miękkim, wsunąć się w ciepłą, śliską przestrzeń, poczuć ogień w dole pleców, a potem chłodny spokój rozlewający się po moich udach.

Wciągam z powrotem spodnie i zaczynam przechadzać się po pokoju. Jedna rundka, druga rundka, trzecia rundka. Jeszcze chodzę, jeszcze zerkam na zegarek, ale już wiem, że nie ma co czekać, że przyszła zima, ale Święty Mikołaj nie stawia się na miejscu, że została mi tylko moja własna obolała różga. Chce mi się płakać. Patrzę jeszcze raz za okno i już wiem, co zrobić. Wyjdę na miasto i sam poderwę sobie jakąś Weronikę.

Ubrawszy się, zbiegam po schodach i wychodzę przed klatkę; chłód przeszywa mnie na wylot, przyjemnie znieczulając całe ciało. To będzie dobra noc. Przemykam się pośród ciemnych bloków, szarych podwórek i rachitycznych trzepaków; blade światło latarni i śnieg nadają temu całemu syfowi nieco odświeżonego wymiaru, przez co czuję się jak dziecko zagubione pośród magicznej nocy, jak pieprzona dziewczynka z zapalnikami. Pochylam się i biegnę przed siebie.

Miasto jest puste, wyludnione przez mróz. Kiedy myślę, że nikogo już nie spotkam i będę musiał wrócić do domu, aby dalej czekać na Emila, nagle widzę dziewczynę w jednej bramie – prezent pod choinkę, zapakowany w puchową kurtkę narzuconą na pidżamę i palący pospiesznie szluga. Tak, to jednak będzie dobra noc.

Nigdy przedtem nikogo nie biłem, ale teraz czuję

przyływ energii; czuję, że starczy mi siły i odwagi; wiem, że to proste. Pochylam głowę, pokonuję odległość kilkoma susami i stoję z nią twarzą w twarz – jest brzydka i pryszczata, ma pysk jak ciasto z rodzynkami. Właśnie w to ciasto walę z całej siły. Papieros kreśli w powietrzu rozżarzoną trajektorię, ona leci do tyłu, a na mojej pięści zostaje strużka śliny i krwi. Leżąc na ziemi, otwiera usta, aby krzyknąć, ale ja jestem już przygotowany, aby ją uciszyć – rzucam jej w twarz wyciągniętą ze śniegu cegłą. Plaśnięcie, chrzęst, rżenie. Nie czekam, tylko przerzucam ją sobie przez ramię i biegnę do przodu; mijam trzepak i śmietnik, skręcam za garaże, za którymi znajduje się niewielki park. Pałają się w nim żółte lampy, podświetlające padający śnieg.

Rzucam dziewczynę na ziemię i widzę, że totalnie zmasakrowałem jej twarz. Zęby są wybite, a nos złamany. Jeszcze żyje, poznaję po obłoczku pary unoszącym się nad zmiażdżonymi ustami, zaciskam więc jej wokół szyi ręce; chwilę coś jej drga w grdyce, ale potem staje się spokojna jak świat wokół nas.

Ja za to nie jestem spokojny. Zdzieram z niej kurtkę. Znajduje się za nią dwuczęściowa, błękitna pidżama. Nie wiem, czy najpierw chcę zobaczyć cipkę, czy cycki. Przebieram palcami w powietrzu, aż w końcu dochożę do wniosku, że najpierw podejrzę danie główne, a potem wrócę do przystawki. Ściągam w dół spodnie, aby odkryć, że jest świeżo wygolona. Wodzę palcami po łonie, a potem rozsuwam jej uda i widzę szaro-różową pizdę – w porównaniu z tymi, które widziałem na pornolach, wydaje się mała i niepozorna, przez co zaczynam się zastanawiać, czy uda mi się wepchnąć do środka mojego fiuta.

Powinienem jednak zacząć od początku. Zdejmuję jej górę i wciskam twarz między duże, ale niezbyt foremne cycki. Chociaż jej serce już nie bije, to wciąż jest ciepła. Leżę tak chwilę, a potem liżę jej sutki; nie sztywnieją, więc zaczynam tarmosić je zębami, aż odkrywam, że niechcący oderwałem jednego. Wypluwam strzęp skóry i postanawiam przejść do konkretów. Zsuwam spodnie, czując, jak pięść mrozu zaciska mi się wokół jaj; jedną dłonią łapię fiuta, a drugą smaruję jej cipę śniegiem. Jestem cały odrętwiały i długo próbuje się się w nią wcisnąć – na pornolach to zawsze jest dużo bardziej naturalne, a ja muszę zmieniać kąty ustawienia i zezować w dół, aby przypilnować, czy nie pcham ją w pępek. W końcu wchodzi, ja ciągle nic nie czuję, ale tak, tak, wchodzi, unoszę w górę i w dół przemarzniętą dupę, w górę i w dół, i rucham, to jest właśnie to, o czym tyle marzyłem, to jest ta czynność, która odróżnia mężczyzn od chłopców, twardzieli od mięczaków, a ja właśnie zapukałem do drzwi elitarnego klubu. Jestem jebaką, supersamcem, seks-maszyną, bestią wypuszczoną z klatki, erotycznym King-Kongiem. Jestem zжебisty! – krzyczę to w jej zakrwawioną twarz, w płatki śniegu na opuszczony powiekach, w krew zaschniętą na policzkach, w czarną jamę ust.

Nagle ktoś mnie wali czymś w plecy. Uderzam czołem z powrotem między cycki dziewczyny, wyślizgując się z niej. Zanim zdążam się odwrócić, dosięga mnie kolejny cios, tym razem w ramię. Zimno tłumi ból, ale i tak wiem, że mam coś złamanego. Turlam się na bok i widzę, że to jakiś szpakowaty koleś – ma

na sobie zwykłe domowe ubranie, w rękę trzyma pręt i ciężko sapie. Patrzy najpierw na martwą dziewczynę, a później dopiero na mnie. Nie wierzy, nie rozumie. Prawdopodobnie to wszystko – jej sprasowana cegła buźka, pogryzione cycki, rozrzucone na boki nogi i mój sino-czerwony, wciąż nabrzmiały kutas – stanowią dla niego dziurę we Wszechświecie, skazę na rzeczywistości. Domyślam się, że tak to wszystko widzi mój napastnik, bo ja też tak to widzę. Przestaję być w tym momencie dziewczynką z zapalnikami, która poszukuje wśród śniegu odrobiny ciepła, jestem tu i teraz, tak jak wtedy kiedy koledzy ze szkoły nakrywali mnie w kiblu na masturbacji i wywlekali na korytarz z opuszczonymi majtkami.

Nie czekam, aż pojawi się tłum, który znów mnie obrzuci papierkami, tak jak w tych nieletnich czasach. Szybko wciągam ubranie, zapinam pasek i biegnę przed siebie. Potykam się jednak o krawężnik i lecę do przodu. Wyciągam przed siebie ręce, ale te ślizgają się po śniegu; uderzam czaszką o bruk; zapada ciemność.

„Nie brudźcie sobie rąk, zadzwońcie na policję”. „Panowie, dajcie spokój, nie bądźcie bestiami”. „Przecież to się skończy w kryminale”. „Synek, zostaw to i wracaj do domu”. Głosy, szepty, krzyki. Otwieram oczy, siadam i widzę, że jestem pośrodku podwórka, na którym znalazłem dziewczynę. Otacza mnie grupa mężczyzn w różnym wieku, którzy trzymają kije bejsbolowe, metalowe rurki, noże i cegły. Już wiem, przed czym chciały powstrzymać tych ludzi słyszane przeze mnie głosy. Chciały ich powstrzymać przed linczem.

Pierwszy cios znów nadchodzi od tyłu. To chyba cegłówka, przynajmniej coś twardego, co uderza mnie w plecy. Potem rzucają kolejnymi przedmiotami, nie wiem, jakimi, nie chcę wiedzieć; kulę się na ziemi i pozwalam, aby waliły mnie w plecy, nerki, kolana, głowę. Kiedy mężczyźni są już pewni, że nie będę miała siły się podnieść, zbliżają się i zaczynają mnie kopać; w ruch idą też kije i pałki. Pękają żebra, pękają rzepki w kolanach, pękają piszczele. Kiedy cierpienie jest wszystkim, przestają na chwilę i ściągają mi spodnie. Nie otwieram oczu, bo wiem, że mam zalane je krwią, ale domyślam się, czemu trzymają mnie za nogi i co to za chłodny przedmiot dotyka moich jąder. Pieczenie, potem błyskawica bólu, a jeszcze potem – poczucie jakiejś dziwnej pustki i braku. Ktoś krzyczy, ktoś się śmieje, a ktoś jeszcze rzuca mi na pierś jakiś wilgotny przedmiot.

Dopiero teraz otwieram oczy. Z nieba wali śniegiem jak deszczem, to przypomina bardziej lawinę z Mont Everestu niż zwykłą zimową noc. Nagle widzę zbliżający się ku ziemi kształt. To dmuchana lala. Ma skrzydła i aureolę. Siada obok mnie i z jej wielkich ust, przystosowanych do znacznie większych fiutów od mojego, dobiega głos, przepiękny głos, który mówi do mnie:

– Odpocznij sobie, teraz wszystko będzie dobrze.

A ja mam tylko jedno pytanie:

– Czy naprawdę nazywałeś się Weronika?

– Tak – odpowiada, a ja zamykam oczy z ulgą, pozwalając, żeby moje rozpalone czoło oblepił zimny śnieg.

● ● ● ● ● ● ● ● ● ●

W kostnicy opuszczonego szpitala panowało przenikliwe zimno, choć lodówki dawno nie działały, a i trupów nie gościła od lat. Zapięta kurtkę, schowała ręce do kieszeni. W rogach ustawiono lampy. Ich światło zdawało się tak chłodne, jak otoczenie.

Choć była tu podczas pierwszej kontroli, kostnica nadal działała na wyobraźnię. A może przypominała o tym, co pragnęła pogrześć w niepamięci.

Przeszła do pokoju mieszczącego szuflady na ciała. Ciemne półki odcinały się od błękitu ścian. Kto pomalował ściany trupiarni na tak optymistyczny kolor? Nie wiedziała.

Swoimi obawami prosiła się o to. Usłyszała hałas. Oczywiście, przytłumione dźwięki dochodziły z wnętrza jednej z szuflad.

Nie ryzykowała, choć pewnym było, że to szczur albo inne zwierzę. Nie zajrzała do środka, nie kusiła

Musiał skrócić w boczny korytarz. Na stary oddział neurologiczny, w labirynt pustych pomieszczeń. Ale po co?

– Martin! – Pojawiła się odpowiedź. Nawoływał swojego asystenta.

Spojrzała jeszcze w stronę schodów. Wydało jej się, że słyszy dźwięk. Jakby coś łąziło na piętrze. Albo i w suficie.

Ciekawości nie potrafiła powstrzymać.

Dźwięki towarzyszyły wspinaczce po schodach, prowadziły zapuszczonym korytarzem. Minęła oddziały, sale operacyjne i znalazła się w skrzydle służącym kiedyś za centrum rehabilitacji. Wreszcie hałasy zaprowadziły ją do biblioteki.

Gnijące i kruszące się książki zaścięły całą podłogę sporego pomieszczenia. Część nadal stała na metalowych półkach o ostrych bokach.

SAMOTNOŚĆ WIKTORII

Marek Grzywacz

3 miejsce w konkursie na „miniaturę grozy”

losu. Rzeczywistość lubi się upodabniać do horroru, tego nauczył ją tamten dzień.

Opowiedziała Neilowi z korporacyjnej ekipy.

– Ta, autosugestia. Racjonalizm nie pomaga. Wie pani, zwłaszcza, że legendy...

Każdy opuszczony budynek ma swój mit. Historia tego była prosta. Gdy szpital porzucano, gdy zamykano na spusty, ktoś dopuścił się bezbożnego przeoczenia. W kostnicy zostały trupy. Kończyny po amputacjach. Flaki z sekcji zwłok.

Wyssane z palca gadanie.

– Chyba tak – odparła obojętnie.

– Jeszcze z pani niedawnymi... – Zorientował się, że nie powinien. – No i jak? – Zmienił temat. – Stan doskonały, prawda?

– Nieomal czysto. Mało wilgoci. Brak śmieci, grafiti. Tylko parę dziur w ścianach i wybite okna. Nawet podejrzenie doskonały. Ile lat to stoi?

– Puste? Ze dziesięć, ma pani w dokumentacji. No i co, jaki werdykt?

Niecierpliwe dupki, pomyślała, najchętniej dziś zaczęliby remont.

– Nie. Zleciłabym dodatkowe ekspertyzy. W końcu powtarne otwarcie musi być przemyślane.

Spochmurniał.

– Dobrze. Proszę, zwiedzimy jeszcze lewe skrzydło.

Zatrzymał ją na środku korytarza, zaczął opowiadać coś o instalacji elektrycznej. Nie słuchała, choć powinna. Wyłączyła się. Wodziła wzrokiem po ścianach, po splekanym suficie. Blade światło zza pustych ram okiennych nadawało wnętrzu niepokojącego wyglądu. Wreszcie odwróciła głowę, by spojrzeć w kierunku schodów.

Ktoś tam stał.

Biała sylwetka w staromodnej pelerynie, z obszernym kapturem. Tak się wydawało, nie widziała dobrze, nawet mrużąc oczy. Sylwetka zaraz rozmyła się.

Obróciła się, by zobaczyć, że jej towarzysz zniknął.

Ucichły hałasy gdzieś nad.

Na stoliku zauważyła stosik papierów. Nie ułożył ich przypadek. Podbiegła tam. Od razu zauważyła, że kartki są poplamione. Czymś czarnym, czymś czerwonym. Pachniały odrażająco. Pokonała odruch wymiotny i sięgnęła ku nim.

Strony książek. Różnych. Naukowych, medycznych, powieści gotyckich.

– Proszę pani! – Krzyk zza pleców sprawił, że gwałtownie się odwróciła. W progu pojawił się Martin. Patrzył się na nią ze zdziwieniem.

– Proszę pani, coś się stało? – krzyknął. Zrobił kilka kroków w jej stronę. Nagle huk. Krzyk.

Zwaliła się na niego półka na książki. Przygniotła biedaka. Tak niefortunnie, że zdruzgotała głowę, ucięła kantem rękę. Jasna krew obryzgała książki, dziurawy dywan.

Patrzyła. Obojętnie. Nienawidziła się za to. Zero reakcji czy współczucia, nawet w takim momencie. Dlatego mąż odszedł. Nie, bo nie potrafił zapomnieć, ale dlatego, że ona zrobiła się taka. Odcięła się od emocji, nic nie potrafiło jej poruszyć.

– Nie bój się. – Serce zaczęło walić jak oszalałe, gdy zorientowała się, że naprawdę słyszy ciepły, kobiecy głos. – Zobaczysz cud.

Ucięta ręka drgnęła. Poruszyła palcami. Poderwała się. Zaczęła chodzić, jak upiorna maskotka z rodziny Addamsów. Człapała wokół zmiażdżonej głowy, jak żołnierz patrolujący teren. Krew i mózgowa pulpa też zaczęły ruch. Płynęły strużką ku dłoni, a ta położyła się w mazi, jakby kontakt z płynami sprawiał jej przyjemność.

– Wszystkie skrawki ożywają, gdy jestem w pobliżu. To moja aura. Żyją, gdy są blisko mnie, nowym, cichym życiem – mówiła niewidoczna kobieta.

Nie mogła odpowiedzieć. Słowa nie chciały wyrwać się z krtani.

– W książkach, z których się tu uczyłam, znalazłam

szaloną teorię – objaśniał głos. – Prawdziwe wariac two. Pisali, że każda część ciała, nawet najdrobniejsza, zawiera w sobie świadomość. Że nie jest ona ulokowana w mózgu, tylko, jak dusza, wszędzie. Każdy skrawek ma fragment całości. Okruch świadomości, wspomnienie, uczucie.

- Kim jesteś? – spytała wreszcie, otrząsnęła się.
- Poprowadzę cię. Zobaczysz dom.

Z nieosłoniętego wylotu wentylacji zeskoczyła dłoń. Chodziła jak Martina, ale była inna. Stara. Szara i przegniła. Skóra schodziła, ukazując fragmenty kości.

Dłoń „podbiegła” w kierunku wyjścia, zniknęła w korytarzu.

Ruszyła za upiornym przewodnikiem, jak zauroczona.

Niżej i niżej. Do piwnic i głębiej, choć planach tych korytarzy zwyczajnie nie było. Ściany jarzyły się delikatną poświatą. Skądś dobiegał straszliwy fetor, więc zatkała nos palcami. Dłoń pędziła nieustępliwie, ohydny przewodnik.

Wreszcie wąska szpara w ścianie. Z ledwością się precisnęła.

Pomieszczenie tętniło śmierdzącym zgnilizną i formaliną życiem.

Wszędzie części ciała. Falujące palcami dłonie. Głowy, mrugające powiekami, ruszające ustami. Uderzające o siebie z okropnym klekotem kości. Pulsujące mięśnie, ruchome węże okrwawionych jelit, bijące serca i napięte jak miechy płuca.

Zwymiotowała od razu.

Widmo stało przy ścianie. Zakryło ciało peleryną, twarz szczelnie otuliło kapturem. Ale strój... Nie materiał. To była ludzka skóra. Nieudolnie zszyta srebrnymi nitkami. Żywa, unosząca się oddechem, pokryta uginającymi się jak na wietrze włoskami.

– Moje skrawki. – Głos postaci brzmiał tak kojąco. – Żyją moim życiem, bo moje życie jest z nich. Zostawili je w mroku i zapomnieniu. Tliła się w nich resztką bytu. Wola trwania. Przyciągały się, skupiały w jądrze energii. Ja nim jestem. Rodziłam się na podłodze, pozlepiana ich żywotnością.

Zatkała usta. Słuchała widma w przerażeniu.

– Ale nadal się psują. Wolniej, godniej, ale zabiera je Natura. Moja aura nie starczy. Ja też się psuję. Muszę wymieniać. W szpitalu brak. Długie nocne wycieczki. Naznosiłam. Wiele pożyczonych skrawków. Moja kolekcja, moje... części zamienne.

– Ty chora suko! – zdobyła się na krzyk. – To zbrodnia, Boże!

Wyciągnęła telefon z kieszeni. Przyciskała szybko. Wideo zaczęło się nagrywać. Jeszcze sekunda. Zdobędzie dowód.

– Nie! – ryknęło widmo.

Spod peleryny wystrzeliła macka jelit. Wytrąciła komórkę z dłoni. Nadszedł czas ucieczki, ale nagle coś boleśnie wgryzło się w jej nogę. Spojrzała w dół. To była okrwawiona głowa Neila. Wyrwana z kręgosłupem, który wił się jak kościana żmija. Zaciskała szczęki.

Nagle coś zatkało nos. Niszczająca dłoń złapała usta. Odcięła dopływ tlenu.

Ocknęła się. Przywiązana do pionowego blatu. Pasy

zaciśnięte na nadgarstkach, kostkach i ramionach. Bez szans na ucieczkę.

Widmo zdjęło pelerynę.

Miało bladą, nieruchomą twarz. Wokół ust skórę przegniłą, prześwitywała żuchwa. Zamiast powiek rzadki falujących paluszków niemowląt. Martwe, rybnie oczy. Zamiast włosów girlandy wnętrzości. Pod szyją ekstrawagancki kołnierz z żeber wbitych w skórę. Brzuch składał się z wielu zlepionych dłoni, między nimi szpara. Wysunięte z niej jelita, owinięte wokół talii jak pas. Zamiast genitaliów pas cnoty z ludzkich paznokci. Ze szczelin między częściami sączył się białawy płyn.

– Jestem poezją skrawków, prawda? – spytał upiór.

– Wypuść mnie! – odrzyknęła. – Zrobię co chcesz, tylko puść mnie!

– Chcę ciebie. Odkąd wkroczyłaś do szpitala. Jesteś taka piękna, zmrożona od środka, ale żywa. Pasujesz tu.

– To nieprawda! – wrzeszczała.

– Zawsze sama. Tylko książki. Wiele razy czytałam Współczesnego Prometeusza. Nadałam sobie imię Wiktoria, gdy nauczyłam się ironii. I śniłam o doktorze. Sama się stworzyłam, fakt. Ale marzyłam o opiece. Kimś, kto by mnie składał, gdy elementy obumrą. Kimś takim jak ty.

Krzyki przestały układać się w słowa.

– Mam coś, co cię przekona. Prezent. Potwór zostawił ją w kawałkach, ja znalazłam, wzięłam trochę. Dlatego nie znaleźliście kompletu. I dowiedziałam się, że była twoją córeczką.

Piersi maszkary eksplodowały w fontannie białej cieczy. Ukazując... głowę. Bładą twarzyczkę czterolatki. Córkę odebranej przez mordercę.

– Poczekaj – mówiło widmo. – Dam ci więcej!

Wiktoria skupiła się. Wielki wysiłek, aż z ucha i płaskiego nosa uwolniła się gęsta krew. Ale udało jej się.

– Mamusi! – pisnęły usta córki.

Zrozpaczona matka nigdy nie uwierzyłaby, że da się jednocześnie śmiać, krzyczeć i wymiotować. Jednak inaczej zareagować nie mogła.

Pracowała cały wieczór. Kości cięto się opornie tępową piłką. Pracę utrudniało też to, że zwłoki zaczęły się ruszać. Ale pokawałkowała, choć siódme poty wystąpiły na czoło. Umyła, zatrzymała upływ krwi. Pomalowała paznokcie u rąk. Dar musiał być idealny.

Wiktoria zjawiała się bezszelestnie.

Spojrzała na miskę skrawków. Cmoknęła ustami z zadowoleniem.

– Same najładniejsze, najżywotniejsze. Czyste i piękne. Jak radziłam sobie bez ciebie, przyjaciółko? Jesteś taka kochana!

Wiktoria miała rację, bez dwóch zdań.

– Mam też coś dla ciebie – dodała Poezja Skrawków. – Dowód mojego przywiązania!

Wiktoria wyciągnęła zawiniątko, przyłożyła ruchliwą, dziewczęcą dłoń do jej brzucha. Fragment córki, dzięki aurze dobrodziejki, zaczął się zrastać z matką. Przepełniając ją radością. Miała w sobie część swojego dziecka, mogła zlać się z córeczką w cielistą wspólnotę.

Dla tego uczucia warto było ukoić samotność Wiktorii.



● ● ● ● ● ● ● ● ●

już o jego kości. Pozwolił sobie na parę krzyków, nie więcej. Każdy krzyk to utrata sił, a tych miał zdecydowanie deficyt. Skurcz odpuścił i ból zelżał. Powoli zaczął wracać do wydarzenia sprzed omdlenia. Kutas odciął mu ucho! Rany boskie, co się tu dzieje? Nagle go olśniło. Przecież krew cały czas sływała mu ciurkiem po policzku z otwartej rany. Nie miał innego wyjścia i zaczął zlizywać krew, żeby choć trochę oszukać pragnienie.

Nie wiedział kiedy znowu stracił przytomność, zresztą coraz częściej odpływał nie kontrolując kompletnie swojego ciała. Powoli zaczynał czekać na moment, kiedy organizm się podda i umrze. Będąc małym chłopcem raz już o tym myślał, choć nijak tamta sytuacja miała się do tej. W wieku ośmiu lat był na wakacjach u babci na wsi. Pewnego dnia chodząc z nudów po lesie, trafił na jakąś polankę z opuszczoną chatą. Kręcił się wokół i nagle wpadł do starej studni, łamiąc sobie nogę w piszczelu, w trzech miejscach. Spędził w tej studni trzy dni, krzycząc i płacząc przez dwa pierwsze, a modląc się o szybką śmierć przez cały trzeci. Ekipa ratunkowa znalazła go na skraju wyczerpania, a lekarze twierdzili, że przy takiej ilości straconej krwi przy złamaniu powinien być już martwy. To jeszcze nie wszystko. Trzy noce spędzone samemu w lesie odbiły się też na jego psychice. Dopiero po sześciu miesiącach terapii zaczął znowu mówić, a do dziś nie potrafi zasnąć bez radia czy telewizora.

Z dość niemiłych wspomnień wyrwał go znowu dźwięk otwieranego zamka. Sytuacja powtarzała się notorycznie. Ktoś wchodził do środka, świecił na niego latarką, on tracił wzrok na kilka minut.

Skurcz

– Ty się za bardzo wydzierasz – powiedział psychol – a zaraz, jak zobaczysz co chcę ci zrobić, będziesz darł się jeszcze bardziej. Zanim wezmę się do roboty chyba zjem na rozgrzewkę twój język, co o tym myślisz?

– Nie, błagam! Czego ty ode mnie chcesz? Wypuść mnie, proszę.

Nie odezwał się już słowem, tylko wziął drabinę i znowu stanął z nim twarzą w twarz, tym razem zamiast noża miał w rękach sekator i kombinerki. Zjadł język na jego oczach szyderczo się śmiejąc i patrząc mu prosto w oczy. To nie były oczy człowieka, widział w nich pustkę i istne szaleństwo. Pomimo bólu i braku języka, resztkami sił splunął mu niezdarnie krwią w twarz. Ten roześmiał się jeszcze głośniejsze, obliżał się i pogłaskał po brzuchu jak małe dziecko, które zjadło właśnie coś pysznego. Zszedł z drabiny i wyszedł z pomieszczenia. Wrócił po kilku minutach i wszedł z powrotem na drabinę. Wkręcił tuż obok jego głowy żarówkę i nagle można było dokładnie obejrzeć całe pomieszczenie.

– Chcę żebyś wszystko dokładnie widział zanim rozpocznie się finałowa uczta.

Na widok pokoju dostał okropnych skurczy żołądka, naturalnym odruchem byłyby wymioty, ale po tylu dniach bez jedzenia i picia nie miał kompletnie co zwracać. Dziesiątki poćwiartowanych ciał porozrzucanych wszędzie w totalnym nieładzie. Głowy, ręce, nogi, frag-

menty tułowia, wnętrzości. Część miała widoczne ślady od ugryzień i były to ludzkie zęby. Nie potrafił tego pojąć, czuł że kompletnie opada z sił, rozumiał że jest żywcem jedzony przez jakiegoś pojeba i nie ma szans na wyjście z tego cało.

– No dobra kochaniutki. Żeby dokończyć dzieła, będę musiał cię zdjąć i porządnie oprawić.

Przeniósł wzrok na pobliski stół, na którym widać było liczne ślady zaschniętej krwi i masę przerażających narzędzi. Pomylenieć przestawił drabinę i zaczął odpiąć mu nogi od łańcuchów. Nagle jego ciało bezwładnie runęło w dół i zawisło na samych rękach. Potworny ból bezustannie się nasilał. Zobaczył, że w lewej ręce skóra nienaturalnie zaczyna się fałdować pod kajdanami i chwilę później całkowicie ześlizgnęła się z kości przez co i jedna ręka została uwolniona. Wisiał tylko na jednej ręce kręcąc się w kółko, a świr stał na drabinie i śmiał do rozpuku.

Nie wytrzymał, poczuł w sobie niesamowity gniew. Resztkami sił kopnął drabinę, która bujnęła się kilka razy i w końcu runęła na bok. Śmiech z twarzy potwora w zwolnionym tempie zniknął, zamieniając się w zdziwienie, a chwilę później w przerażenie. Z całym impetem runął na ziemię uderzając czaszką w betonową podłogę. Słysząc było głuchy dźwięk pękającej potylicy, a chwilę później pojawiła się ogromna kałuża krwi, która bezustannie rosła.

Spojrzał na uwieczoną dłoń, musiał się jakoś uwolnić. Przeniósł wzrok na tą już bez skóry. Gołe kości i fragmenty mięśni doprowadziły do kolejnego skurczu w żołądku. Nie było innego wyjścia, z drugą ręką musiał zrobić to samo. Szarpał się kilka minut i kiedy myślał, że się nie uda, skóra z drugiej ręki rozdzieliła się z ciałem swego właściciela. Do ziemi miał około metr i kiedy do niej dotarł, kolejna fala ogromnego bólu przeszła jedną z nóg. Padł na ziemię i przerażony stwierdził, że kończyna całkiem pękła w piszczelu i leżała nienaturalnie wygięta pod kątem prostym. Lekarze mówili mu wiele razy, że prędzej czy później złama nie się odnowi. Spojrzał nerwowo na swojego oprawcę, w takich chwilach często w filmach okazują się, że morderca jednak żyje i koszmar trwa nadal. Ten jednak leżał nieruchomo i sprawiał wrażenie zawodowego sztywniaka.

Kiedy resztkami sił wyczołgał się z pomieszczenia, okazało się, że był w jakimś starym magazynie. Dotarcie do wyjścia z obdartymi ze skóry rękami i otwartym złamaniem nogi zajęło mu dużo czasu i pozbawiło minimum dwa razy przytomności. Tuż za bramą magazynu stracił przytomność i już się nie obudził. Jego ciało kilkanaście dni później znaleziono przy starym opuszczonym magazynie, za miastem, przy nieczynnej od wielu lat fabryce zabawek. Było zmasakrowane i na wpół zjedzone przez zwierzęta. Zidentyfikowanie ciała z magazynu miało zająć wiele lat. Krwi na podłodze przy drabinie w pomieszczeniu z ofiarami nie udało się dopasować do DNA żadnego z nich.



TATUSIU, OBIECAŁEŚ...

Anna Szczęśna

Szyba w drzwiach zniekształcała obraz szepczących rodziców. Dziewczynka słyszała każde słowo. Leżąc w przeпоconej pościeli, spragniona i walcząca o oddech, czekała. Niech ktoś już przyjdzie.

Próbowała zawołać, ale zamiast głosu z jej gardła wydobył się bolesny kaszel.

– Po prostu coś jej opowiedz. Do jutra powinna spać gorączka.

Ostatnie zdanie wślizgnęło się do pokoju, wraz z dźwiękiem naciskanej klamki.

– Co tam kochanie, napijesz się?

Tata trzymał w ręku różowy kubek. Usiadł na wer-salce i wygładził kołdrę w księżniczki. Gdy dotknął chłodną dłońią czoła córki, przymknęła oczy. Lęki na chwilę odeszły, a w obecności ojca poczuła się bezpiecznie. Pokój znowu był jej, lampka z obracającymi się zwierzętami, nie przypominała już potwora chcącego ją pożreć. Tykanie zegara z Myszką Miki przycichło, a misie i lalki przestały szeptać za jej plecami.

– Nie będziesz już płakać, prawda? Po co te łezki. Mamusia i tatuś są obok. Nie ma się czego bać.

Pomógł się jej napić i odgarnął przeпоcone włosy z twarzy. Była wyczerpana gorączką. Licho wie, co takiego podłapała w przedszkolu. Odkąd przyszła jesień, nie było tygodnia, by nie przypętało się jakieś choróbko. Tym razem, groźba zapalenia płuc zmobilizowała oboje rodziców do zostania w domu. Doktor, który wcześniej rozwiewał ich obawy, podczas ostatniej wizyty, był całkiem poważny. Julka dziennie znosiła wszelkie niedogodności, ale widać było jak traci siły.

Infekcja nie chciała się poddać. Mała nie miała apetytu, ani chęci do zabawy. Z rozbrykanego dziecka zamieniła się w wymęczoną staruszkę.

– Jeszcze łyczek, to ci coś opowiem.

Z trudem przełknęła gęsty syrop i z nadzieją spojrzała na ojca. Ten, w poszukiwaniu natchnienia rozglądał się po pokoju. Zwykle to żona zajmowała się zabawianiem córki, ale tym razem padło na niego. Była trzecia nad ranem, a on do późna biegał po mieście w poszukiwaniu dyżurującej apteki. Wszystkich Świętych zobowiązywało do odwiedzin na cmentarzach, a nie do chorowania. W końcu jednak udało mu się zrealizować recepty. Pozostawało czekać, aż lekarstwa zaczną działać. Modlił się o to, bo od kilku dni niedosypiali, niedojadali, a mieszkanie zaczęło zarastać brudem. Mimo kilkuletniego stażu małżeńskiego i jed-

nego dziecka, prowadzenie domu, nadal było ich piętą achillesową. Gdyby nie babcie, dziecko znalazłoby tylko smak zupek z torebki. Wszystko przez to, że przed ciążą oboje żyli sobie wygodnie i dość lekkomyślnie. W obliczu prozy życia stawali się bezbronni.

Jak na złość, jego mama miała złamaną nogę, a teściowa wyjechała do Egiptu, spragniona słońca i przygód (miłosnych, jak się domyślał, a nie śmiał powiedzieć na głos, w obawie przed przymusową abstynencją seksualną).

Zostali sami na polu bitwy. Przegrywali z krete-sem, ale jeszcze dalecy byli od przyznania się do porażki. Spanikowani i półżywi, modlili się o cud.

– Tatusiu, obiecałeś...

Słaby głosik wyrwał go z rozmyślań. Wrodzona niechęć do czytania i ograniczona wyobraźnia po raz pierwszy w jego życiu stały się problemem. Gigantycznym wręcz, biorąc pod uwagę okoliczności.

Chcąc nie chcąc, sięgnął głęboko w czeluść pamięci i wyciągnął mgliste wspomnienie wyniesione ze szkoły.

– Pewnego razu, była sobie dziewczynka. Miała na imię Rozalka. Była bardzo biedna i nie miała pięknych zabawek, ani sukienek. Cały czas musiała ciężko pracować, ciężiej nawet od tatusia, wiesz? Nosiła drewno, sprzątała i gotowała. No i z tego wszystkiego Rozalka rozchorowała się, ale żyła w czasach, gdy nie było tak wielu lekarzy, ani takich pysznych syropów, jakie ty dostałaś. Mieszkała w drewnianym domku i nie było wtedy telewizji, ani samochodów, więc kiedy Rozalka się rozchorowała przyszła do niej pani znachorka. Wiesz, kto to znachorka? Taka pani, co udaje, że leczy i z tego żyje. No więc, przyszła ta pani, obejrzała Rozalkę i mówi, że dziewczynka musi się mocno wypocić, żeby choroba sobie poszła i że trzeba dziewczynkę położyć na desce i wsunąć do pieca na trzy zdrowaśki. Babcia cię uczyła mówić 'Zdrowaś Maryjo', prawda? Tak więc, włożyli Rozalkę do pieca, chociaż ta krzyczała i szarpała się, to i tak zamknięto drzwiczki i zaczęto się modlić. No i Rozalka się upiekła.

A teraz zamknij oczka i śpij.

Zadowolony z siebie, nie zwrócił uwagi na szeroko otwartą buzię córki, ani na ręce kurczowo zaciśnięte na kołdrze. Pocałował ją w policzek, zabrał kubek i wyszedł.

Nie minął kwadrans, gdy ciszę przeciął dziecięcy



krzyk.

– Twoja kolej – powiedział do żony, odwrócił się na drugi bok i zakrył poduszką. Z ulgą zarejestrował ruch z drugiej strony łóżka, ciężki westchnienie i kroki w przedpokoju. Nie zdążył jednak pogрузić się bez reszty w błogiej nieświadomości, bo gwałtowne szarpnięcie, o mało nie zrzuciło go na ziemię.

– Coś ty jej naopowiadałeś? Będziesz płacił za jej terapię do końca życia. Wiesz, co się przyśniło Julce? Spalona dziewczynka, którą ciągnęła ją za włosy, w stronę kuchni. Co ty na to?

– Zaraz oszaleję. Kochanie, jutro nic nie będzie pamiętała. Dajmy jej coś na uspokojenie, jakąś walerianę czy coś i proszę, śpijmy... Jest, cholera jasna, czwarta rano!

- No tak, ona ma gorączkę i ledwo oddycha, a tatuś ma to w dupie, bo chce się wyspać, normalne!

– Bo mnie szlag trafił. Zostałem w domu, martwię się tak samo, jak ty. Od tygodnia waruję przy jej łóżku, ganiam po lekarzach i aptekach, a tobie to nie wystarcza. Czego jeszcze, kurwa, chcesz?

– Od ciebie nic! Ale poczekaj, aż zachce ci się pieprzyć.

Jego ukochana żona, uosobienie spokoju i dystynkcji, w szerokim rozkroku pochylała się nad łóżkiem i poczerwieniała, z pulsującą żyłą na skroni, wyszarpywała spod niego kołdrę. Wpakowała sobie pościel pod pachę i wyszła rzucając na prawo i lewo tłumione przekleństwa.

No pięknie, teraz już nie uśnie. Sięgnął do nocnej szafki i wyjął stopery do uszu. Następnie łyknął garść tabletek nasennych, nakrył się szlafrokiem żony i odleciał.

Z niedowierzaniem wpatrywał się w zegar na ścianie. Spał bite dwanaście godzin. Oszołomiony, z kapiem w ustach, wczorajszych slipach i ze spuchniętą twarzą, starał się zebrać myśli. Na pewno o czymś zapomniał i czegoś nie zrobił. Wspomnienie scysji o świcie, momentalnie odebrało mu chęć wyjścia z sypialni. Panujący półmrok i zastałe powietrze, wydały mu się nad wyraz przytulne, ale apetyczny zapach dochodzący z kuchni obudził jego kiszki i zmusił do działania. Podrapał się po szorstkim policzku i z jękiem podniósł swoje cztery litery. Nie wiedzieć, czemu, bolały go wszystkie mięśnie. Ubrał się w wymiętą koszulkę i spodnie od dresu, przygładził włosy, otworzył drzwi i rąbnął jak długi, potykając się o bucik Julki. Złość dość szybko wyparowała na widok porozrzucanych zabawek. Znaczy się, mała czuje się lepiej. Ulżyło mu. Pozostało przeprosić żonę, zjeść spóźnione śniadanie, a raczej obiad i można zacząć żyć.

Nie namyślając się wiele, ruszył prosto do kuchni, skąd dochodziła smakowita woń. Zamiast jednak zastawionego stołu, znalazł kępkę jasnych włosów na oparciu krzesła.

– Kochanie! Kochanie! Julia traci chyba włosy przez antybiotyki.

Starał się, by nutka drgającej histerii, nie była wyczuwalna w jego głosie, ale z czymś takim spotkał się po raz pierwszy. Mało tego, kolejne blond pasma połykiwały na rogu szafki, podłozde i kłamce. Opanował się. Najpierw coś zjeść. Nie ma sobie psuć nerwów na

głodnego.

Sięgnął po ręcznik i uchylił drzwiczki od piekarnika. Soczyste skwierczenie stało się głośniejsze. Przełknął ślinę, wyciągnął brytfannę i zdjął pokrywkę. Przymknął oczy i pozwolił, aby gorąca para pełna smakowitego zapachu, wypełniła przestrzeń.

Nie zdążył spróbować, bo coś wbiło mu się w łydkę. Krzyknął i upuścił naczynie na stół, rozbryzgując wszędzie gorący tłuszcz.

Na ziemi, w nienaturalnej pozycji leżała żona, paznokciami orając skórę na jego nodze. Podpierała się na łokciach i jednym okiem łypała groźnie, boleśnie wykręcając szyję.

– Nigdy, nie będziesz mógł spać spokojnie. Do końca życia, będziemy cię odwiedzać w najgorszych snach, ty potworze – wyszczała – jak mogłeś? Tak bardzo ci przeszkadzałyśmy?

Nic nie rozumiejąc, w szoku, rzucił się na kolana i odwrócił ją na plecy. Wielka czerwona plama rozlała się przed jego oczami. Pochłonęła go, zmięła i wypłuła z powrotem w wir koszarnej rzeczywistości.

– Kochanie, kto ci to zrobił?

Niewprawnie starał się zatamować krwawienie. Obrusem, papierowymi ręcznikami, koszulką. Dziura w jej piersi rosła coraz bardziej. Miotał się, jak oszalały po kuchni. Komórka, jak na złość się rozładowała, a całe osiedle zdawało się przenieść na pobliskie cmentarze, by tam świętować Zaduszki. Na nic zdały się jego wysiłki. Kobieta wygięła w ostatnim spazmie kręgosłup i znieruchomiała.

Nagle coś sobie przypomniał. Znacząc trop krwawymi śladami stóp po jasnej wykładzinie, tłumiąc łkanie, wszedł do pokoju dzieciennego.

Julci tam nie było.

Salon.

Łazienka.

Sypialnia.

Pokój gościnny.

I powrót do kuchni.

W jego głowie coś pstryknęło. Płomień nadziei, że to tylko mu się śni, rozjaśnił się jasnym światłem. Absurd tej całej sytuacji, objawił mu się, jak Matka Boska niewinnym pastuszkom. Pokrzepiony, podszedł do stołu. Zairzał.

Malutkie, dziwnie poskręcane ciało z zarumienioną, popękaną gdzie niegdzie skórą, jeszcze parowało.

Apetyczny zapach zamienił się w gęstą, tłustą chmurę, która szczelnie otuliła jego rozum i pozbawiła możliwości odczuwania, jakichkolwiek bodźców.

– Rozalko, Rozalko, nieszczęsna dziewczynko, gdzie moja córka? Co z nią zrobiłaś? Oddaj mi córkę, proszę...-
załkał żałośnie.

MONSTRA

Łukasz Bogacz

Nie chcę rozwścieczyć Izki. Potrafi być gorsza od nadeptniętej żmii. Nie pozostaje mi nic innego jak zrobić to, co ustaliliśmy dzisiaj rano, gdy Izka wpadła do mojego gabinetu mówiąc, że wszystko jest gotowe i zaczynamy po ósmej.

Słyszę jej głos:

– Bądź bardziej naturalny.

Staram się jak tylko mogę, ale nie jest to łatwe. Zbliżam się do niej od przodu, by mogła mi się przyjrzeć. Zaczyna krzyczeć, bo maska goryla, która skrywa moją twarz zamienia mnie w prawdziwe monstrum. Muszę ją uciszyć. Sięgam po szeroką, brązową taśmę. Odrywam kawałek i zaklejam jej usta różowe jak majteczki, które wystają spod spódniczki. Początkowo myśleliśmy o standardowym zrobieniu mi loda, ale doszliśmy do wniosku, że ostra akcja bez zbędnych wstępów lepiej się przyjmie w ustalonym przez nas scenariuszu.

Izka daje mi znak dłonią, bym zerwał majtki, ale to kolejny raz, kiedy zgraliśmy się w czasie jak stare, dobre małżeństwo, bo już zaczynałem rozrywać różowy materiał. W takich momentach tylko umacniam swoją pewność, że zostaliśmy stworzeni dla siebie imojepoczątkoweobawyodnośniejeosobyznacząteraztyle,co moje poprzednie związki. Myśl o nich powoduje, że jestem bardziej agresywny, a ona chyba to czuje, bo gdy z całą siłą zrywam z niej majtki zaczyna się wierzgać, jakby dotarły do niej moje prawdziwe zamiary i zrozumiała swoją pozycję.

Więc walczy, oczywiście że walczy, próbując wyrwać się z objęć sznura, za pomocą którego skrępowałem jej ręce i nogi. Wygląda jak zarzynane prosię, które przez nieuwagę rzeźnika zdołało wyrwać się na wolność. Te ruchy niezgrabne i pokraczne, którym co gorsza towarzyszą nieudolnie wydawane jęki i chrząknięcie zaczynają mnie denerwować. Z całej siły uderzam ją w twarz, by się uspokoiła. Chyba nieco przesadziłem, bo złamany nos zaczyna krwawić jak rozcięta aorta. A może to łuk brwiowy?

Nachylam się ku niej. Staram się sprawiać wrażenie surowego rodzica, który nie miał innego wyboru i musiał zachować się tak, a nie inaczej.

– Widzisz, co czeka niegrzeczne dziewczynki? Byłabyś spokojna, to nie musiałbym łamać twojego nosa. A teraz popatrz na siebie.

Uśmiecham się jak ksiądz proboszcz na kolędzie.

– Ale wiesz, tym bardziej mi się podobasz.

I wreszcie widzę jak przerażenie wynurza się zza kurtyny bólu i niedowierzania zawarte w trzech miejscach niczym wypaczona wersja Trójcy Świętej: oczach, twarzy i strużki moczu, która ścieka po jej lewym udzie wprost na materac pokryty folią. Gdybym nie miał nałożonej maski, najchętniej zacząłbym lizać okolice jej nóg, bo mocz połączył się z krwią i ich wspólny smak najpewniej nabrał intrygującej nutki.

Izka dostrzegła moje wahanie, bo udało się jej jedną ręką rozewrzeć pośladki wypiętego w moją stronę tyłka i dać mi do zrozumienia, że jest gotowa, że możemy zaczynać. Zaczynam się masturbować, tylko parę ruchów, by pogłębić wzwód, a następnie zakładam gumę. Cały czas obserwuję wypięty w moją stronę tyłek, róż warg sromowych zaczyna kreślić figury na tle dłoni Izki. Jej palec wskazujący jest już dosyć głęboko, przygotowując mi teren do zdobycia, ale oboje wiemy, że na tradycyjnym seksie się nie skończy, że jeszcze anal jest w drodze i to właśnie on będzie sednem wydarzeń tej nocy zanim zrobię to, co ustaliliśmy.

– Madzia... – mówię na granicy szeptu. Gdy zdaję sobie z tego sprawę i dociera do mnie, że właśnie wypowiedziałem imię mojej pierwszej żony omal nie wybucham. Powtarzam mantrę naszego nauczyciela jogi, liczę do pięciu i jeszcze raz, i jeszcze, nie patrzę na Magdę, Magdy tu nie ma! Nie, w głowie mam liczby: jeden, dwa, trzy... Oddycham, jakby mi ktoś badał płuca. I zły na siebie, że straciłem nad sobą kontrolę, że Izka mogła to usłyszeć, z całej siły wchodzę w nią, jakbym w tym działaniu chciał wyrzucić z siebie napięcie ostatnich dni. Musiała ją zabość, bo wygina kręgosłup, wierzga się jak złapany do klatki kot, krzyczy bądź wyje przez brązową taśmę, więc dobrze się stało, że rano zdecydowaliśmy się jej użyć. Przynajmniej sąsiedzi nie zaczną sobie wyobrażać Bóg wie czego.

Gwałcę ją. Cały czas krwawi, najwyraźniej nie była gotowa przyjąć mojego twardego penisa, ale krew nam nie przeszkadza, krew dodaje pikanterii naszej zabawie, podkreśla autentyczność mojej dominacji. Łapię ją za kark i wciskam jej twarz w materac. Dzięki temu mam jeszcze lepszy dostęp i mogę wejść głębiej. Robię kilkanaście ruchów, ale muszę przestać, bo jest zbyt dobrze, zaraz dojdę, a wolałbym spuścić się w jej odbycie, który także dziewiczy będzie idealnie ciasny. Puszczam ją na kilka sekund; wystarczyło, by mogła zaczerpnąć powietrza przez uwolnione od materaca dziurki nosowe. Wciąga je krótkimi

i niezbyt głębokimi wdechami, jakby wciągała amfę z nieznanego źródła.

Po jej policzkach spływają łzy. Muszę przyznać, że twarda jest, bo to pierwszy raz, gdy zaczyna płakać odkąd rozpoczęliśmy grę. Wykorzystuję ten moment i spod materaca wyciągam kuchenny nóż. Przyglądam się swojemu odbiciu i muszę przyznać, że nie należy do przyjemnych. Izka miała rację mówiąc, że dzięki masce uzyskamy ciekawszy efekt.

Jestem gotowy, to właściwy moment, bo musiało minąć ponad dziesięć minut od kiedy zacząłem ją gwałcić. Chwytam jej ciemne lokowane włosy, szarpię głowę do tyłu tak, by odsłonić grdykę i wykonuję jedno, głębokie cięcie. Krew tryska w zaskakującej ilości. Co gorsze zamiast na materac trafia na ścianę i półkę za łóżkiem; miejsca, których nie zakryłem czarną folią. Krzyczę:

– Kurwa mać!

A ona dostaje drgawek, jakby wyszło na jaw, że cierpi na padaczkę. Spod taśmy zaklejającej usta wypływają strużki krwi. Gdyby jej nie miała na ustach, z pewnością puszczała by teraz krwawe bąble. Cały czas zły na niekorzystny rozwój wypadków chwytam ją z całej siły za szyję i wpycham twarz w materac. Krew zaczyna ściekać wprost na czarną folię. Dużo jej. Może tak szybki upływ powoduje, że drgawki zaczynają ustawać. Ustaje też opór i wiem, w tej krótkiej chwili już wiem, co to znaczy zabić człowieka.

Muszę się uspokoić, bo dociera do mnie, że oddycham niczym nurek pozbawiony tlenu o pięć sekund za długo. Palce zaciskają się na rękojeści noża, jakby od tego chwytu zależało moje życie. Gdy zdaję sobie z tego sprawę, zwalniam uścisk i nóż spada na podłogę. Patrzę na martwe ciało. Kątem oka dostrzegam swój wzwód i przypominam sobie o naszym scenariuszu. Pora na finałową scenę.

Rozwieram pośladki i wchodzę w ciasną dziurkę jej odbytu. Nie ma w tym żadnej przyjemności, bo w chwili śmierci puściły jej zwieracze i najzwyczajniej babrzę się w gównie wymieszanym z krwią. Dobrze, że mam tę cholerną maskę goryla, bo dzięki niej nie dociera w pełni do moich nozdrzy kłoczny smród. Próbuję się skupić na czymkolwiek, przyglądam się martwej i ciągle ślicznej twarzy, byle tylko nie myśleć o gównie czepiającym się prezerwatywy i nie wsłuchiwać się w pluskający odgłos, gdy raz za razem wchodzę i wychodzę z odbytnicy. Wytrzymuję minutę, po której zniesmaczony wycofuję penisa na zewnątrz, ściągając gumę brudną od gówna i krwi. Zaczynam się masturbować. Zbliżam rękę do jej piersi, ale nie dotykam ich. Wpatruję się w otwarte oczy, w których nie ma już strachu, może być tylko niedowierzanie temu, co się stało. Patrzę na skępowane ciało całe we krwi, moczu i gównie. Patrzę na loki jej wło-

sów, teraz sklejonych i przyczepionych gdzieś do rozciętej szyi. Patrzę i jestem coraz bliżej, zaczynam stękać, oddech mi przyspiesza, zaciskam wargi.

Spuszczam się na czarną folię tak, by nie było problemów z zatarciem śladów. Cały czas patrzę się na jej młode ciało i próbuję uspokoić oddech. Raz. Dwa. Trzy. Czuję jak krew napływa mi do twarzy, a pot ścieka po plecach. Jakby z innej przestrzeni, z innego wymiaru słyszę głos Izki:

– Już nie kręcę. Możesz zdjąć maskę.

Schodzę z łóżka. Folia szeleści pod moimi stopami, bo rozłożyliśmy ją także na podłodze. Kieruję się w stronę stolika, na którym stoi butelka wody mineralnej. Zrzucam maskę, morda goryla ląduje w kącie i zaczynam pić. Woda ścieka mi po twarzy i czuję bliskość Izki. Kładzie rękę na moim ramieniu, drugą łapie mnie za krocze, szepcze mi do ucha:

– Byłeś niesamowity. Ten film będzie hitem. Wiesz, ile na nim zarobimy?

Patrzę na Izkę, a przez nią widzę łóżko, czarną folię i martwe ciało prawdopodobnie sześciolatniej dziewczynki i liczę na to, że dużo, że opłacało się.

sierpień 2011

.....



RATUNEK

Bartosz Szczygielski

Szum wody nie był w stanie zagłuszyć ciągłego chrobotania pazurów o beton. Jazgot szczurzych pisków dobiegał z każdej strony, odbijając się echem od mokrych ścian kanału. Adam nie widział wprawdzie gryzoni i to nie dlatego, że żarówki zamontowane lata temu nigdy nie były konserwowane i przestały działać. Zwierzęta po prostu unikały obcych. Odkąd zaczęli znikać ludzie, nawet szczury zrobiły się ostrożne i nie miało znaczenia, że były na swoim terenie.

– Działaj do cholery!

Adam potrząsnął zapalniczką kilkukrotnie, nie przełożyło się to jednak na jakikolwiek efekt. Sprzęt zacharczał wypływając z siebie ostatnie tchnienie. Wilgoć zalegająca w okolicy zrobiła swoje i krzesiwo odmówiło posłuszeństwa. Zapalniczka wylądowała w wodzie, dołączając do płynących z prądem brudów miasta.

Nie pozostało mu nic innego jak oprzeć się na swoim przytępionym instynkcie przetrwania. Przyłgął do ściany, która tuż nad jego głową zaczęła przechodzić w sklepienie łukowe, przypominające stare kościoły, jakie pamiętał ze szkolnych wycieczek. Odkruszone cegły zalegały na betonie, a mokre odpryski przyczepiały się do ubrania. Kanał w najwyższym punkcie musiał mieć przynajmniej cztery metry wysokości i dwa razy tyle szerokości. Chodnik przy ścianie, do której Adam przyczepił się niczym alpinista, miał jednak nie więcej niż metr. Resztę wolnej przestrzeni pochłaniała woda.

Powoli zaczął się poruszać do przodu, jedną ręką wymachując przed sobą, a drugą agresywnie pieszcząc wilgotne cegły. Większość z zamontowanych lamp, które oświetlały podziemie nie działała, na całej trasie naliczył ich zaledwie siedem. Gdy miał ze sobą zapalniczkę, podróż wydawała się dobrym pomysłem.

– Ostatni raz wychodzę z domu bez latarki – powiedział robiąc ostrożny krok przed siebie.

Szczur zapiszczał pod butem i uciekł zostawiając za sobą Adama, równie przerażonego jak on sam. Gryzonie potrafiły tulić się do siebie, tworząc całe fale włochatych podróżnych, omijając przy tym wszelkie przeszkody. Osobnik, na którego nadepnął musiał być wyjątkowo niezdarny, albo głupi, skoro nie uciekł zawczasu.

– Ostatni, kurwa, raz.

Gdy otrząpywał obuwie z resztek sierści w oddali dostrzegł oświetlone pomieszczenie. Kilkadziesiąt kroków dzieliło go od tego, by wejść w strefę żółtego światła. Powoli zaczął się przemieszczać, szurając butami po betonie, jak po lodowisku. Na podniesienie nogi odważył się dopiero, gdy ciemność w okolicy zaczęła się przersedzać.

Jednostajny szum wody mieszał się z zupełnie nowym dźwiękiem. Równomierne, szybkie pohukiwania z każdym krokiem robił się coraz głośniejsze. Brzmiały, jakby przerażone zwierzę utknęło w pułapce, całkowicie bezradne i czekające na oprawcę. Pojedyncza żarówka przyczepiona do ściany kanału, sprawiała, że brudna sceneria wyglądała na skąpaną w blasku zachodzącego słońca.

Smród nieczystości, który towarzyszył Adamowi od początku, przybrał na sile tak bardzo, że musiał zatkać nos by nie zwymiotować. Wnęka w kanale, która z daleka przypominała pokój, była odgradzona od chodnika metalowymi prętami. Wyglądały na dopiero co zamontowane, wbite głęboko w kruche ściany. Pionowe i poziome nabrzmiały linie.

– Jest tam kto? – zapytał niepewnie zbliżając się do krat.

Zamontowane światło nie pozwalało dostrzec całego wnętrza wnęki. Przy samych prętach, tuż przy podłożu zobaczył tylko rdzawe, podłużne ślady, zupełnie tak, jakby ktoś starł całą brązową kredę intensywnie pocierając nią o ziemię. Przez chwilę zdawało mu się, że wewnątrz coś się poruszyło. Wyteżył wzrok, ale dostrzegł tylko leżące w rogu brudne szmaty, a przy ścianie kubeł wypełniony po brzegi gęstą, śmierdzącą mazią.

Adam powoli przysunął się bliżej do wilgotnej kraty. Czuł jak serce zaczyna mu walić niczym młot pneumatyczny i jak ten dźwięk wypełnia kanał, odbijając się w nieskończoność. Zaciśnął palce na prętach i pociągnął do siebie. Ani drgnęły. Gdy już miał odejść i poszukać innej drogi, coś musnęło jego rękę.

– Chryste! – krzyknął i odskoczył gwałtownie do tyłu, prawie wpadając do wody.

Zza krat patrzyła wystraszona dziewczyna. Włosy, przylepione potem i brudem do twarzy, nieudolnie

maskowały wrzody wokół ust. Skórę miała cienką i szarą jak kalka. Adam miał wrażenie, że gdyby podrapała się po policzku zerwałaby resztkę tego, co kiedyś musiała uważać za piękne. Patrzyła na niego błagalnie tak, jak zbity pies na właściciela, który w dłoni trzymał metalowy drąg.

Strzępy ubrania zwisały z jej wychudzonego ciała. Przez mokrą od wody i potu sukienkę prześwitywały stożkowate piersi, a sine żyły kontrastowały z niegdyś kolorowym materiałem.

– Wszystko w porządku?

Chciał zabrzmieć spokojnie, jak panujący nad wszystkim nauczyciel, ale drżenie głosu zdradzało, jak bardzo się bał. Wiedział, że nic nie jest w porządku. Znalazł przecież pośrodku miejskich kanałów wycieńczoną osobę. Bitą i torturowaną, a wnioskując z jej odsłoniętych ud, całych w brunatnych zaciekach i ropiejących ranach, najprawdopodobniej zgwałconą.

– Jak masz na imię?

Dziewczyna milczała chowając twarz przed nikłym światłem żarówki. Cofnęła się w głąb wnęki przewracając stojące pod ścianą wiadro. Smród nieczystości rozszedł się wokół nich jak fala uderzeniowa. Wdarł się do nozdrzy i w głąb skóry. Ekskrementy rozlały się brudną rzeką po betonie topiąc nogi dziewczyny. Choć była bosa nie uciekła przed brudem, stała cały czas pod ścianą, zgarbiona.

– Ja mam na imię Adam – powiedział spokojnie. – Wydostanę cię stąd.

– Co tu robisz? – wyrzeźbiła.

Brzmiała niczym nałogowy palacz z rakiem trzustki. Jak facet, którego Adam spotkał w pociągu, gdy jako dziecko jechał z matką nad morze. Mężczyzna chciał się tylko przywitać i chwilę porozmawiać, zabić monotony stukot kół, ale on się rozpłakał przerażony na sam dźwięk charczącego głosu.

Dziewczyna musiała krzyczeć o pomoc przez wiele dni zanim struny głosowe odmówiły posłuszeństwa. Adam chciał jej powiedzieć, że wszedł do kanałów, bo założył się z kuplami o piwo, że dojdzie nimi na drugi koniec miasta, ale zgubił się po drodze.

- Należę do ekipy poszukiwawczej. Jesteś jedną z tych zaginionych dziewcząt, których szuka całe miasto. - skłamał.

Nie poruszyła się nawet o milimetr. Wyglądała tak, jakby pogodziła się z losem i z tym, że zostanie do końca życia w śmierdzących kanałach.

– On tu jest.

– Kto? – Adam przysunął się bliżej pretów.

– Iest tutaj.

– Pomóż mi. Złap za kratę i pchaj z całych sił, a ja będę ciągnął. Może uda nam się ją wyrwać.

Wilgotne pręty przylgnęły do dłoni jak nasmarowane klejem. Adam zaparł się nogą o ścianę i z całych sił zaczął ciągnąć. Jednego był pewien, sam nie da rady.

- Pomóż mi do cholery! - krzyknął.

Dziewczyna wyprostowała się momentalnie i podeszła do krat, chlupiąc nogami w swoich nieczystościach. Wyciągnęła przed siebie ręce i oparła je na zaciśniętych palcach Adama. Były miękkie i bezkształtne, jak zaschnięty wosk. Biło od nich nienaturalne ciepło.

Chłopak przybliżył się do niej i zobaczył, że w miej-

scu dłoni są tylko nadpalone kawałki mięsa. Gorące, zwęglone i napuchnięte ciało śmierdziało zgnilizną. Dziewczyna próbowała coś powiedzieć, ale skóra na jej policzkach pękła z głośnym sykiem. Adamowi zrobiło się słabo, ale na niej nie wywarło to żadnego wrażenia. Wróciła na swoje miejsce pod ścianą. Ukucnęła i ponownie stała się nieruchomą kupką szmat, za jaką wziął ją Adam na początku.

– Poczekaj, wrócę po ciebie. Obiecuję.

Rozejrzał się po kanale szukając wyjścia. Zauważył kolejną wnękę, kilkanaście metrów od niego. Wyglądała na większą i nie ograniczały jej żadne kraty.

Pomieszczenie było o wiele dłuższe niż cela, w której zamknięta była dziewczyna, a przede wszystkim lepiej oświetlone. Z pod sufitu zwisały szpitalne świetlówki, rażące dotkliwie przyzwyczajone do półmroku oczy. Podłoga zamiast szarego betonu pokryta została białymi płytkami, pełnymi czerwonych śladów. Zupełnie jakby ktoś przeciągał po nich wielki mop zanurzonym w farbie.

Ściany przysłonięte zostały przez wysokie magazynowe regały. Pośrodku stało ogromne metalowe łóże, wyglądające jak stół rzeźnicki z rynnami odpływowymi i ogromnym hakiem zwisającym spod sufitu, a tuż za nim postawiono lekarskie biurko. Adam podszedł do regałów i zaczął przypatrywać się umieszczonym na nich słoikach.

Setki stojących zbiorników wypełnionych było brunatnym płynem, a w każdym pływały części ciała. Palce unosiły się na powierzchni, podobnie jak nosy i gałki oczne. Każda półka była posegregowana i opisana. Na samym dole stały naczynia ze stopami, powyżej Adam zauważył kilka penisów oraz warg sromowych, pływających w formalinie, niczym glizdy na kałuży, a z samej góry patrzyły smutne, wyłupane oczy.

Pomieszczenie wypełnił dźwięk tłuczonego szkła. Adam odwrócił się z podniesioną do ciosu ręką. Zamiast przeciwnika, którego się spodziewał, zobaczył tylko wielkiego kota przechadzającego się pomiędzy regałami na przeciwległej ścianie.

Zwierzę patrzyło na mężczyznę zielonymi oczami, łagodnie ruszając ogonem. Wśród potłuczonego szkła, leżało wzdęte serce. Kot zdawał się nie przejmować poczynionymi szkodami i zaczął majestatycznie lawirować pomiędzy słoikami. Adam odetchnął głęboko.

– Kieł, przeraziłeś mnie jak cholera! Chcesz żebym miał zawał?

Kot zeskoczył z regału i szybko podbiegł do stojącej wprost pod rynną odpływową stołu miski. Łapczywie wypił resztki zakrzepłej krwi i oblizał się zostawiając wokół pyska brudny ślad. Adam pogłaskał zwierzę i podszedł do biurka.

- Mama miała rację, że byłbym dobrym aktorem – powiedział podnosząc z blatu chirurgiczną maskę. – Gdyby tylko mogła zobaczyć, jak daleko zaszedłem.

Kieł otarł się o nogi mężczyzny i zamruczał, domagając się pieśczot. Adam wziął go na ręce i postawił na regale, obok ogromnego naczynia z pływającą wewnątrz głową.

- Pilnuj mamusi. Musze iść - powiedział zakładając lateksowe rękawiczki. - Obiecałem coś pewnej dziewczynie.



WŚRÓD KURZU I AKT

Marcin Wiercioch

Choć wydawało mi się, że grube, stalowe drzwi będą cholernie ciężkie, teraz widzę, że się myliłem. Ciągnę je do siebie. Ulegają bardzo łatwo. Pani Helena chichocze, widząc moje zdziwienie.

– Każdy praktykant tak reaguje za pierwszym razem – mówi, przekraczając próg magazynu. – Mimo pozorów, nawet ja bez problemu co dzień je otwieram.

Nie odpowiadam na jej uwagę. Przyglądam się długim półkom, uginającym się pod ciężarem akt. Od podłogi do sufitu, od samego wejścia, do ukrytej gdzieś w ciemności przeciwległej ściany ciągną się szeregi uporządkowanych alfabetycznie, żółtych kopert. Od pierwszego spojrzenia zrobiło to na mnie wrażenie. Nie pamiętam ile metrów bieżących akt osobowych jest w tym archiwum. Ale jest tego naprawdę sporo.

Pani Helena siada, skrzypiąc krzesłem przy ustawionym w rogu stoliku.

– Jeśli ktoś pracował we Wrocławiu i potrzebuje dokumentacji swojego zatrudnienia, na przykład w celu ustalenia emerytury, jest szansa, że znajdzie coś tutaj – wyciera dłonią ubrudzony rękaw. – A właściwie to my znajdziemy.

Wyciągam z kieszeni niebieskiego fartucha notatkę. Zapiśałem nazwiska, Bernard Łask i Janina Resztko. Pani Helena nie rusza się z miejsca.

– Pod „Ł” Piotruś, pod „Ł” – wskazuje jedną z bliższych półek.

Paweł, poprawiam ją w myśli.

Odkąd rozpocząłem praktyki w Archiwum Państwowym, łąziłem w kółko, nosząc kilogramy akt z miejsca na miejsce. Ale wygląda na to, że w tym oddziale w końcu zrobię coś konkretnego.

Podchodzę do wskazanej półki i wyciągam pierwszą z brzegu kopertę. Bernard Łask. Pani Helena znów chichocze.

– Ach ten Aktuś, jest zawsze gdy go potrzeba.

No tak, znowu ten Aktuś. Od samego rana co chwilę pieprzy o tym „dobrym duszku, który pomaga oszczędzić nam czas”. Przy każdej okazji, gdy przypadkowo trafi na właściwy dokument, czy nazwisko w spisie. Wzdycham. Starsza pani, robiąca w archiwum na pół etatu ma frajdę z wymyślania takich rzeczy.

Podaję jej kopertę. Na stoliku lądują różne dokumenty. Pani Helena je przegląda, ja w tym czasie obserwuję magazyn. Jest chłodno. Nie zimno, ale nieprzyjemnie. Chyba siedemnaście, czy osiemnaście stopni. Patrzę w głąb pomieszczenia. Nad moją głową świeci goła żarówka, która rozjaśnia wnętrze jedynie do połowy. Reszta pogrążona jest w mroku. Czuję się nieswojo, gdy patrzę jak metalowe półki rozpływają się w czerni.

● ● ● ● ● ● ● ● ●

CHCIAŁBYŚ BYĆ NA NASZYM MIEJSCU?

Mateusz Zieliński

Szerokie ostrze rzeźnickiego topora zabłysło zimno. Mój wzrok podążył za nim bezwiednie, gdy wznosiło się niczym wciągany do góry nóż gilotyny.

Nie mogłem się ruszyć. Nie wiedziałem, czy trzymają mnie więzy, czy też mięśnie odmówiły mi posłuszeństwa, buntując się przeciw na wpół sparaliżowanej woli.

Topór opadł, a ja uciekłem w przeszłość.

– Policja! Kurwa, policja!

Zakląłem i ze złością wałęnałem w kierownicę.

Od czasu, kiedy nowe przepisy pozwoliły policji karać mandatami na osiedlowych uliczkach, sytuacja na blokowisku pogorszyła się diametralnie. Z dnia na dzień, wśród zalewającego wszystko morza samochodów, znikło kilka wymyślnych miejsc parkingowych; na trawniku, przy piaskownicy i budynku transformatora oraz na jednym z byłych-chodników. Rywalizacja o przestrzeń przybrała na sile, ocierające się o rękochny sprzeczki stały codziennością, a ten i ów krzywo patrzył na trzy szerokie miejsca dla inwalidów. Jednak mnie irytowali przede wszystkim parkingowi debile.

Tego dnia była to właśnie policja.

Srebrny, wielki jak słoń radiowóz zatrzymał się tuż przy klatce, lekko tylko wjeżdżając jednym kołem na krawężnik i całą resztą wielkiej dupy wystając na uliczkę, zajmując dodatkowo co najmniej jedno miejsce i uniemożliwiając wyjazd z dwóch kolejnych.

Wściekły, zaparkowałem ponad sto metrów dalej. Nabuzowany złością, bluzgając pod nosem wszedłem do klatki, nie zauważając zamieszania, ludzi w oknach, trajkoczących tuż przy drzwiach bab. Już całkiem głośno skląłem nieczynną windę.

Dlaczego nikt mnie nie zatrzymał? Dlaczego na mojej drodze nie stanął żaden z inteligentnie parkujących funkcjonariuszy, dlaczego w końcu nie rozwinęli policyjnej taśmy, albo czegoś w tym stylu? Tego już nigdy nie miałem się dowiedzieć. W zamian, w połowie drogi do mieszkania, na trzecim piętrze, wparowałem w sam środek miejsca zbrodni.

Krew była wszędzie. Pokrywała widoczny przez uchylone drzwi przedpokój jednego z mieszkań i przelewała się przez próg na schody. Nigdy nie myślałem, że w jednym człowieku może być jej tyle. Zresztą wtedy nie wiedziałem jeszcze, że to jeden człowiek. Pomyślałem raczej, że dokonano tu masowego mordy, sataniści wymordowali koty z całego osiedla, albo napadnięto sanitariusza z transportem krwi dla całego województwa. Właściwie nie zdążyłem pomyśleć nic więcej, bo w zdenerwowaniu, przez nikogo nie zatrzymywany, wlałem w sam środek krzepnącej posoki.

Świat zakręcił się gwałtownie.

Moja prawa noga zawiodła po raz ostatni. Poślizgnąłem się i poleciałem do tyłu, na schody, na

zawsze zapamiętując odgłos pogruchotanych kości, szatkujących mięśnie i nerwy.

• • •

Znałem ten dźwięk. Suchy strzał łamanej, grubej gałęzi, z towarzyszącym mu lepkiem pogłosem.

Szarpnąłem się na krzesło, mimowolnie zacisnąłem zęby. Jakby z oddali usłyszałem własny, stłumiony jęk.

Mimo to, wciąż nie opuszczałem wzroku, nie mogłem.

Ostrze topora wróciło do góry. Na błyszczącej stali czerwieniły się fraktale krwi i mięśni, z kilkoma niewielkimi, białymi odpryskami.

Szok odrealniał wszystko. Zobojętniał.

Odpłynąłem...

Wróciłem po pół roku, wciąż odczuwając fantomowe bóle po amputowanej nodze. Własnym nowym samochodem, mułowatym, przystosowanym dla inwalidy Uno, wjechałem do piekła...

... na pieprzony, obrzydliwy, osiedlowy wszędzie-parking.

Nic się nie zmieniło. Blokowisko pokryte było niekończącym się dywanem samochodów. Stały wszędzie, na chodnikach, w wąskich uliczkach, wokół trzepaków, śmietników, pod drzewami na trawnikach, wjeżdżały nawet na piasek zaniedbanego placu zabaw. Najwyraźniej mandatowa psychoza odeszła, przegrywając z koniecznością.

Objechałem okolicę dwa razy i dopiero za kolejnym zauważyłem wolne, szerokie miejsce, jedno spośród trzech wyznaczonych dla inwalidów, tuż przed klatką.

Zawahałem się. Oczywiście miałem kartę parkingową, jednak nie przyzwyczaiłem się jeszcze do jej używania. Poza tym, wiedziałem, że zajmę miejsce jednemu z wykorzystujących je niepełnosprawnych. Mimo to, skorzystałem, nieświadomie brnąc ku makabrycznej konfrontacji.

– Zaparkował pan tutaj? – stary dziadek zagadał mnie jeszcze przy wozie. – Chyba pan nie powinien.

Zdawał się zupełnie nie zauważać mojej zawiniętej nogawki, kuli i dramatycznej walki o utrzymanie równowagi z nielekką torbą na ramieniu.

– Mam kartę. – odpowiedziałem i natychmiast zacząłem się tłumaczyć. – Ale... ja rozumiem, że ktoś tu zawsze... znaczy... jeśli pan...?

– Dla mnie może pan tu stać. Tylko się pan do tego miejsca zbyt nie przywiązuj. Bartczak z trzeciego – wskazał na mój blok – też próbował i wie pan jak skończył?

Zamarłem. Torba omal nie zsunęła mi się z ramienia. „Wiem, wdepnąłem w jego krew”, pomyślałem. Tak naprawdę, niewiele wiedziałem o zdarzeniu, które pośrednio doprowadziło mnie do kalectwa. Zresztą

generalnie, niewiele w tym czasie wyjaśniono, przynajmniej oficjalnie i według mojej wiedzy.

– Może wyznaczą kolejne miejsce? – spytałem.

– A co pan. Spółdzielnia nie chce. Takie przepisy. I pewnie dobrze, bo za chwilę byłoby tu same dla kalekich, wie pan?

– Ale przecież, jak są ludzie, którzy potrzebują...

– ... to muszą się dogadać. I pilnować zasad. Myśli pan, że ja nie inwalida? A jak najbardziej! Kartę mam. Ale parkuję jak reszta. Ja się użerać i ścigać nie będę, z tymi tu. Żeby nie skończyć jak Bartczak. Panu też radzę. Młody pan...

• • •

Pozbawiony zmysłów, czułem jedynie, jak wszystkie mięśnie zamieniają się w kamień. Nie bolało. Wcale. Jedynie bezwolne ciało, jakby nie moje, drgnęło samo, wraz kolejnym głuchym hukiem.

Topór uniósł się po raz trzeci. Skomplikowane wzory gęstej krwi i mięsno-kostnych szczątków ukazały się w nowym układzie.

I opadły.

To się nie działo! Nie mogło!

Pamiętam ukłucie niepokoju, gdy pusty samochód parkował na kopercie, wciąż widzę poruszającą się, nie-
trzymałą przez nikogo kierownicę.

Podszedłem i zajrzałem do środka.

Krwawiąca z kikuta szyi głowa leżała na siedzeniu kierowcy.

– Chciałbyś być na naszym miejscu? – spytała, a ja...

... obudziłem się, wyrwany z kosmaru dźwiękiem dzwonka. Odruchowo, zmęczony, wciąż zanurzony w makabrze snu, podszedłem do drzwi i zobaczyłem ich przez wizjer; dwóch beznogich na wózkach i jednego o kulach, ze znajomo podwiniętą nogawką.

„Ja się użerać nie będę, z tymi tu”, przypominałem sobie słowa staruszka na parkingu. Nie miałem wątpliwości, że chodziło o ludzi, którzy teraz czekali pod drzwiami mojego mieszkania. „Chciałbyś być na naszym miejscu?”, kołatało mi się w głowie. Było oczywiste, po co przyszli, choć fakt, że byli razem, w trójkę, powiększał i tak podsycany złym snem niepokój.

Wpuściłem ich, mimo wszystko.

Całkiem uprzejmie przedstawili się i z wprawą wprosiли do środka.

– Oczywiście, że możesz parkować. Taka zasada. – Już w pokoju, Kolczyński, jeden z tych na wózkach, mówił spokojnie. – Widzisz, ja i Wojciech – machnął na drugiego, który nie wiedzieć czemu potoczył się do kuchni i najwyraźniej w świetle czegoś tam szukał – nie mamy obu nóg i mamy największe prawo do tych miejsc. Ty nie masz jednej, jak Zenek – skinął na siedzącego przede mną trzeciego – więc musicie dzielić się ostatnim. Taka jest zasada.

– Ale, jak rozumiem, przepisy nie mówią nic o takim...

– Przepisy to gówno! – podniósł głos. – Spółdzielnia zgadza się na trzy miejsca i nie obchodzi ich, że w bloku uprawnionych jest dziesięciu. Jakoś trzeba to uporządkować. Rozmawiałeś z Karolakiem, rano. – „Obserwowali mnie! Od początku!”, rozumiałem. – On też ma kartę,

ma coś z biodrem, ale i dwie sprawne nogi. Nie powinien zajmować nam miejsca i dobrze o tym wie...

– A Bartczak? – chlapnąłem bez namysłu. – Ten z trzeciego piętra?

Spojrzeli po sobie zaniepokojeni, a może przestraszeni.

– Chciał... – Kolczyński odpowiedział po chwili z kpiącym uśmiechem, nieporadnie cedząc słowa – ale... zabrakło mu... szczęścia... i wprawy. Spanikował... – lekko skinął głową.

Zaniepokojony i zdziwiony, nawet nie zauważyłem, gdy Wojciech wrócił z kuchni i zajechał mnie od tyłu. Złapał, przytrzymał i skrępował ręce w szczelach drewnianego oparcia.

– Chcemy, żebyś wszystko rozumiał. – Kolczyński kontynuował, podjeżdżając bliżej i wyciągając zza oparcia wózka potężny topór. – Tylko proszę, siedź cicho. Krzyki nie pomogą. Ten blok wiele już słyszał.

Nie odpowiedziałem. W tym momencie obiecałbym im wszystko. Nigdy nie zaparkuję na tych waszych popierdzielonych kopertach! Nigdy nie zaparkuję na tym osiedlu! Cholera, sprzedam samochód i będę kuśtykał do tramwaju! Powiedziałbym wszystko, byleby tylko zabrali stąd ten topór, poszli do siebie i nie gapili się na mnie oczami, w których zmęczenie starością i kalectwem sąsiadowało z czymś o wiele gorszym.

Powiedziałbym, gdybym mógł.

• • •

Topór nie pojawił się już nad głową Kolczyńskiego, a ja próbowałem uspokoić rozszalałe serce.

– Dawaj patelnię!

„Co!”, kolejna fala przerażenia uderzyła od środka w każdy mięsień ciała. Teraz, po chwilowym rozluźnieniu, chciałem uciekać, zerwać się z krzesła i odbiec, choćby wyrывая skrępowane ręce, choćby na jednej nodze, na jej strzępku (o ile jakiś pozostał), jak najdalej. Opuściłem wzrok i zamarłem z okropnym, nierealnym widokiem na zawsze wypalonym w siatkówkach oczu.

– Co wy...? – reszta pytania zamarła w bolesnej suchości ust.

A oni, unurzani we krwi, nie zwracali na mnie uwagi. Wojciech wytoczył się z kuchni z dymiącą patelnią i bez chwili wahania przyłożył ją do krwawego, zmiażdżonego kikuta... pobladłego Zenka. Okaleczony zaciskał zęby i jęczał cicho, jednak jego usta rozciągały się w przerażającym uśmiechu jokera. Zbryzgana ciemniejącą czerwienią kończyzna leżała na podłodze.

– Dokładnie! Dokładnie! – poganił się. – Pamiętasz co się stało z Bartczakiem.

W pokoju rozszedł się mdły zapach przypalonego mięsa.

Patrzyłem w przerażeniu, to na nich, to na swoją ocalałą, jedyną nogę. Całą!

– Co wy robicie? – spytałem wreszcie.

– Nie rozumiesz? Nie masz już prawa do naszych kopert.

– Ale... – próbowałem oponować.

– Takie zasady, chłopcze. Chciałbyś być na naszym miejscu?

• • • • •

Dzieciak czekał na Mikołaja całą zimę, ale zobaczył go dopiero pod koniec wiosny. Święty nie wszedł przez komin, ale przez otwarte okno, wnosząc ze sobą nocny chłód, wypchany worek i dziwny uśmiech z nadpsutymi zębami na wierzchu.

Popatrzył na małego mieszkańca cichej sypialni.

- Byliśmy grzeczni w tym roku?

- Tak – odparł dzieciak.

Mężczyzna lekko rozchylił worek. Aż do tej chwili nie widać było po nim niczego niezwykłego, może poza tym, że powinien mieć zdrowe zęby. Ale to zdarzało się najlepszym, tak czasami mówili rodzice – niektóre rzeczy zdarzają się nawet najlepszym.

- Który jest dla mnie? – spytał dzieciak.

- Poszukaj – odrzekł czerwony przybysz – a na pewno znajdziesz.

Mężczyzna rozłożył worek szerzej i pozwolił chłopcu zanurzyć w nim ręce.

W środku nie było prezentów, nie był też jednak pusty. Jedna na drugiej leżały tam małe kończyńy, zbite w ciasną płataninę. Dzieciak zamarł, dotykając martej, chłodnej masy dłoni, stóp, łydek, języków, peni-

Uruchomił silnik i ruszył wzdłuż ulicy. Potem zniknął za zakrętem.

Chłopiec obudził się w pustej sypialni na piętrze. Miał koszmar, a może po prostu nie potrzebował więcej snu. W jego wieku szkoda było tracić czas na odpoczynek. Zsunął się cicho z łóżka i stanął boso na zimnej podłodze. Wzdrygnął się.

Podszedł do okna i wyjrzał na zewnątrz po to tylko, by ujrzeć Świętego Mikołaja. Ubrana na czerwono postać wyszła z ogródka sąsiadów i zapakowała worek do samochodu, potem odjechała.

Rano chłopiec zszedł na śniadanie i przy stole zapytał rodziców:

- To prawda, że Święty Mikołaj nie istnieje?

Popatrzyli po sobie porozumiewawczo, tak jakby myśleli, że tego nie widzi.

- Tak, to prawda – odparł tata.

- Nie ma nikogo takiego. – Mama nałożyła jajecznicę na talerz. – Święta są po to, żeby dawać sobie prezenty nawzajem, a Mikołaj to tylko taka stara tradycja, wymyślona dla dzieci.

UCZCIWA WYMIANA

Paweł Waśkiewicz

sów, uszu, nosów, głów bez oczu.

Wszystko lepiło się od krwi, cuchnęło stałą.

Dzieciak nie krzyknął, gdy mężczyzna uderzył go w głowę młotkiem. Nie mógł już krzyczeć także w chwili, gdy zdzierano mu twarz. Z chirurgiczną precyzją, posługując się skalpelem, mężczyzna zrobił nacięcia, a potem ściągnął płat skóry przy pomocy cęgów.

Z twarzy dzieciaka pozostała krwawa maska, w której lśniły nienaturalnie wielkie gałki oczne.

- Idealna – powiedział mężczyzna.

Włożył twarz do worka i wyszedł z powrotem przez okno. Zostawiał na trawie krwawe plamy, ale nie przejmował się tym. Noc osłoni jego ucieczkę, a rano i tak będzie już za późno.

Odnalazł zaparkowany przecznice dalej samochód. Włożył worek do bagażnika, gdzie leżały ciała dwóch dziewczynek, jeszcze nieoprawione.

Potrzebował znacznie więcej skóry niż tylko kawałek twarzy.

Usiadł za kierownicą, zdjął sztuczną brodę i rzucił na fotel pasażera. Znowu trzeba będzie zmyć z niej krew. Rozpiął czerwony kubrak zrobiony z materiału na zasłonki, który służył mu za przebranie. Dzieciaki brały się na to jak ryby na plastikowego robaka. Święty Mikołaj nie wzbudzał żadnych podejrzeń. Dlatego nigdy nie krzyczały, a on zawsze odwalał robotę po cichu.

Policja wciąż nic nie wiedziała o przebraniu. Jeśli to się wyda, miał nadzieję, że nadadzą informację w mediach. Liczył na to, że znajdzie sposób na radzenie sobie bez tego stroju. W sytuacji, gdy wszyscy wypatrywaliby morderczego Świętego, każde inne przebranie byłoby bezpieczniejsze.

- Czyli nie istnieje?

- Nie, nie istnieje.

- To kogo widziałem wczoraj, jak wychodził z ogródka Mateusza?

Rodzice chłopca byli bardzo zmartwieni. Kiedy rano poszedł do szkoły, przed domem sąsiadów pojawiła się policja. Szybko dotarli do nich wszystkie straszne wieści. Zza płotu mogli w bezpiecznej odległości obserwować, jak sąsiadka wybiega przed radiowozy i uczepia się sanitariuszy z noszami. Próbowali im je wyrwać. Podbiegł jakiś policjant, powstrzymał ją, a ciało Mateusza trafiło do ambulansu. Nikt go nie widział, ale jeszcze przed południem na całym osiedlu wiadomo było, co się stało.

Rodzice rzadko słuchają swoich dzieci. Gdyby robili to częściej i z większą uwagą, bez trudu skojarzyliby tę przykrą tragedię z opowieścią ich syna. Wtedy może uwierzyliby, że Święty Mikołaj naprawdę wyszedł nocą z domu sąsiadów.

Stał przed lustrem, poprawiając siwy zarost. Zaciągnął czerwony kaftan mocno na plecach, nawet nie patrząc na przyszyte z przodu guziki, które miały funkcję wyłącznie dekoracyjną.

Mężczyzna naprawdę był Świętym Mikołajem.

Obdarowywał swoich bliskich.

Jego żona pragnęła ostatniej rzeczy na świecie – idealnego dziecka, którego postępująca choroba nie pozwalała jej mieć. Prosiła go o nie każdego dnia na łożu, które wkrótce stanie się jej łożem śmierci. Przeżarta przez raka, chciała dziecko, a on się zgodził. Nie zapytała

Janek dawno nie oglądał się za babami. Lubił to robić, zwykle na tym kończył. Był nie tylko raczej szpetny, ale i nieśmiały. Dopiero po wódce coś tam próbował działać, kończąc zwykle z jakimś chuchrem, co całą noc podpierało ścianę dyskoteki. Ale od pewnego czasu starał się o laskach nie myśleć. I nie patrzeć. Niektórzy gadali, że się ich boi.

Ale gdy przechodziła obok przystanku, nie potrafił odwrócić wzroku. Taka śliczna. Wpierw przód. Długie nogi, żółty t-shirt o rozmiar za mały, by opinać słodkości. Opalona blondyna. Potem tył. Pucia o kształcie jabłuszka w dżinsowych szortach. Między nimi a bluzką błysnęły stringi.

Spojrzała na Janka, obrzydzeniem reagując na brudne dresy i otwartą puszkę Tatry. I tyle. Ale była śliczna. Obserwował, jak oddała się z wolna.

Dopił piwo, zgniótł puszkę i rzucił w trawę. Pekaes na złość nie chciał przyjechać.

Janek wyszedł spod prysznica. Gwizdał prostą melodię. Dom był tak nieznośnie pusty. Dawno by już sprzedał, tak jak dziadkową ziemię, przeprowadziłby się do miasteczka, gdzie i tak jeździł do roboty. Ale nikt nie chciał kupić sypiącej się chałupy.

– Ciało do ciała, usta do ust - Zaczął nucić piosenkę, choć nie chciał, żeby wracała. Zły wpływ. Była aż za śliczna i coś w nim obudziła. Nazwałby to uczucie, gdyby miał większy zasób słów.

Nie miał. Stwierdził, że jest po prostu podniecony.

Położył się do łóżka, od razu zgasił światło, bo wstawał o czwartej. Zamknął oczy i próbował zasnąć. Nie mógł. Było duszno. Nieprzyjemnie. Pocił się i wiercił pod kołdrą.

I stał mu, złośliwie nie chciał opaść.

Wiedział, że nie powinien. Nikt nie powinien, tego go uczono - nie żeby zawsze przestrzegał. Ale teraz był trochę wrażliwszy na grzeszność własną.

Z drugiej strony, miał świadomość cięższych grzechów na sumieniu. Przy ich natłoku, Bóg nawet nie zwróci uwagi na parę szybkich ruchów dłonią.

Jak pomyślał, tak postąpił. Gdy trysnął, zaraz spokojnie odpłynął w sen.

Obudził się gwałtownie. Śniło mu się coś, ale nie spamiętał. Zaraz uwagę zwróciło coś realnego. Swędzenie. Tak nieznośne, jakby pokąsał go miliard komarów.

I w dziwnym miejscu.

Wyjął rękę spod kołdry. Spojrzał na wewnętrzną część dłoni. I jęknął przeraźliwie. Bo wyrósł tam guz. Prawdziwie ohydny, lepący się czymś, wielgachny wrzód.

– Jezusie, nie wierzę! – wykrzyknął. – Bóg mnie pokarał, widział!

Janek nie zastanowił się, dlaczego Najwyższy każe za taką pierdołę, jeśli wcześniej szczędził

katuszy. Zaczął drapać guza. Aż wbił paznokcie, poczuł prąd bólu sunący przez całą rękę. Zaropiała skóra zaczęła odpadać. Nie odpuszczał. Drapał i drapał, aż usunął narośl w całości.

Pod spodem były usta.

Kobiece. Krwiście czerwone. Jak żywe. A może... żywe?

– Cześć – Usta potwierdziły obawy. Janek wybałuszzył oczy, nie dowierzając. – Ciężka noc, prawda? Mój drogi, radziłabym zaczerpnąć powietrza.

Przytaknął, bo co miał zrobić? Rozumem ogarnąć nie zdało. Wciągnął spodnie, nie zważając na to, że usta lubieżnie cmokają. Ruszył do drzwi.

Noc była jasna. Janek spojrzał w rozgwieżdżone niebo, potem rozejrzał się. Podwórce było ciche. Ni świerszczy, ni cykad. Ale dostrzegł Brudasa, swojego psa rasy kundel. Biegł i merdał ogonem. Coś niósł.

Położył pod nogami pana strzep materiału.

Resztki koszulki. Janek dobrze widział, że koloru żółtego.. W dodatku, poplamiony krwią, bez wątpliwości. Cały w czerwonych smugach.

Znał ten t-shirt.

Odrzucił koszulkę, bo z ust na jego dłoni wychylił się język i zaczął lizać plamy krwi.

– Nie wspominałam, mój drogi? – spytały usta.

– Przygotowałam ci nieco rozrywki. Ucieszej i edukacyjnej.

Usłyszał dziwny dźwięk i od razu podbiegł, choć może powinien był uciekać. Zaraz zrozumiał. To drewniany rygiel u drzwi nieużywanej obory wystrzelił z miejsca i spadł na ziemię. Wejście do budynku stało otworem.

Coś wyłaziło ze środka.

Było jeszcze cieniem na skraju, ale już widział, że porusza się dziwnie. Jakby szło z nogami w szerokim rozkroku. Gdy coś wyszło na zewnątrz, okazało się, że to prawda.

Goła dziewczucha. Wygięta, niemal przełamana wpół. Nic dziwnego, jej twarz, przecząc rozsądkowi i budowie ludzkiego ciała, tkwiła w jej własnym kroczu. Nie wiedział, jak zdołała w ogóle iść. Jasne włosy zwisały ku ziemi. Janek poznał ten blond. Babeczka z przystanku.

– Boże. – Zdołał tylko wyszeptać.

– To jest Kasia – mówiły usta. – Już się znacie, twoje oczy ją znają w każdym razie. Taka śliczna. Pewno zaspokoi każdego, a, jak widzisz, sama też da sobie radę.

Twarz zatapiała się głębiej w szparce bezsilnej piękności. Towarzyszyły temu ciche trzaski i odgłosy ciała napinającego się poza granice możliwości. Wreszcie cała głowa zanurzyła się w srom. Reszta nie wytrzymała. Kręgosłup kobiety pękł, mięśnie puściły. Naprawdę złamała się wpół, w fontannie krwi i uwolnionych wnętrzności.

Górna połowa wykonała upiorny przewrót w przód i zawisała na głowie wciąż tkwiącej

w genitaliach. Nogi nadal stały, a krew ściekała po kształtnych pośladkach.

Pod Jankiem załamały się nogi. Padł na klęczki i zaczął zwracać. Najpierw wszystkie posiłki tego dnia. A potem... ziemię. Czarny piach. Ciemne grudy. Poczul, że się dusi.

Nagle przestał.

Wstał.

– Nie, nie – powiedziały usta. – Musisz zobaczyć.

Musisz wiedzieć, czym one są.

W tej samej chwili z wnętrza szopy, obecnie garażu, dobiegł damski pisk.

Zapalił światło. Żarówki świeciły się podejrzenie za jasno. Stała przy masce auta. Przypominała tamtą. Ubrana jak na dyskotekę. Obcisłe jeansy, białe kozaczki, srebrny topik. Ostry makijaż. Zamarła w pozie hostess z targów motoryzacyjnych. A może bardziej z rodzaju tych, które przyjmują dziwki przy trasie by zwabić klienta?

Wydymała seksownie usteczka. Ale oczy, te były pełne strachu.

– Prawdziwa kurewka – stwierdziły usta na Jankowej dłoni. – To siostra Kasi. Na nią też byś sobie popatrzył, poobmacywał. Ale zobacz, to kurwy. Niewarte uwagi.

Dziewczyna ruszyła się nagle. Nachyliła się. I zaczęła coś wypluwać. Różowe kawałki mięsa... Janek wrzasnął. To były penisy. Ucięte, tryskające na wszystkie strony krwią zmieszaną ze spermą. Jeden, drugi, dwudziesty. Gdy skończyła, beknęła siarczyście.

- Wszystkie, które tam wsadzała. Sporo miała w ustach, prawda? A wiesz, co się dzieje z kurewkami po latach?

Siostra Kasi zaczęła się marszczyć. Na twarzy pojawiły się odsłoneczne plamy. Zęby wypadł z dziąseł i z ust. Włosy też, wkrótce pół głowy wyłysiało. Pod oczami zwisły czarne worki. Wszystko to przy akompaniamencie wrzasków bólu.

- Brzydą. Zużywają się. Albo grubieją...

Lalunia zaczęła puchnąć. Najpierw brzuch, jakby nagle zaszła w ciążę. Potem uda, tyłek urósł jak balon, cała napęczniała. Piersi przebiły bluzkę i poleciały w dół, aż sięgnęły talii.

– Nic pięknego. Potem gniją. Jak zgniłam ja.

Skóra siostry Kasi zrobiła się biała, potem zielona. Zsuwała się jak z jaszczurki. Gołe mięśnie zaczęły się zapadać, miękkie elementy rozpuszczać w gęsty śluz. Po minucie przed Jankiem stał czysty szkielet, na którym wisiły jej ubrania.

– Czemu!?! – krzyknął.

– Nie rozumiesz – spytały usta. – Aż tak o mnie zapomniałeś?

Nie poznał głosu, wtedy słyszał tylko krzyki. Ale to ona. Wróciła.

– Dlaczego!?

– By trwać!

Janek zaczął płakać. Jak dziecko, jak wtedy, gdy dziadek lał go pasem. Minęło wiele czasu, zanim się powstrzymał.

Wtedy zauważył, że usta zniknęły.

Zimny pot. Poczł ruch w brzuchu. Z ust wypadła mu grudka ziemi. Potem kamyczek, kawałek badyła, mech.

W żołądku bulgotało. Narastał ból. Coś rozrywało mu flaki. Szukało drogi ujęcia. Czuł napór od wewnątrz. Mocniej i mocniej, jak kopiące dziecko z Piekła.

Wreszcie uwolniło się.

Skóra pękła, wypychając organy z brzucha. Z zięjącej dziury trysnęła fala gleby, leśnego runa, robactwa. Skręcała się w trąbę powietrzną. Tworzyła coś przed nim, ale cierpienie nie pozwalało Jankowi patrzeć. Upadł twarzą na ziemię, czując, że cały środek wypływa mu na zewnątrz, ulewa się na ziemię.

Ledwo uniósł wzrok. Zobaczył, że stoi przed nim prawie kobieca postać. Zrobiona z ziemi, w której ją zakopał, z leśnego poszycia, które ją przykryło. Z robaków, które ją zżarły.

Potem zemdlał z bólu.

Tamtej nocy wyszedł z dyskoteki na parking, zapalić. Wtedy zobaczył ją. Stała na uboczu i rzygała. Pijana i piękna jak z obrazka. W Janku coś drgnęło, coś, czego obecności się nie spodziewał. Zrozumiał, że jest młody i silny, a ona słaba i odurzona. Wkoło nikogo, wszyscy na dysce. Wiedział, że może ją mieć.

– Ciało do ciała, usta do ust – nucił, gdy się zbliżał.

Zaciągnął ją w krzaki. Wierzgała, kopła, próbowała wołać pomoc. Zatkał usta, obalił na ziemię. Sprawnym ruchem ściągnął spódnice, zerwał majteczki. Dosiadł. Wszedł pewnie. Brutalnie. Napierał, a ona w końcu przestała stawiać opór.

Gdy szczytował, zdjął rękę z jej ust. Krzyknęła. Głośno, strasznie, przenikliwie.

Zaczął bić. Tłukł piękną buzię, próbował uciszyć. Wyszło aż za dobrze, bo po chwili już się nie ruszała.

Wywiózł do gęstego lasu, kopał do rana. Zakrył wieloma warstwami gleby.

Nie znaleźli nigdy. To był cud, znak od Boga, szansa. Nie mogło się powtórzyć. Unikał kobiet. Nawet nie oglądał się za nimi, by nie obudzić raz uwolnionego demona.

Ocknął się gwałtownie. Leżał nagi w łóżku, nieuszkodzony. Usiadł. Pomacał brzuch, dla pewności. Cały. Na szczęście był to tylko koszmar.

Niestety, mylił się.

Poczuł, że niewidzialne palce sięgają po jego przyrodzenie. Masują. Próbuja postawić.

– Czy rozumiesz? – szeptała do ucha. – Teraz istnieję tylko w tobie. Chcę istnieć, to jedyne życie, jakie mi zostało. W twoich wspomnieniach. W doznaniach, które wykradłeś gwałtem. Nie możesz zapominać, myśleć o innych, wypierać nimi mojego obrazu. Tylko ty i ja, jedyna kobieta w twoim życiu.

Przytaknął. Trzęsła się cały.

- Pamiętaj, a będzie nam dobrze. Będę cię chronić, muszę. Tylko nie myśl o innych. Nigdy już nie spojrzysz na żadną?

- Usłucham! - krzyknął. I zamierzał udowodnić. Nacisnął palcami gałki oczne, mocno, aż zaczęły pękać. Usuwał je dla niej. Krew spływała strugą po twarzy.

A ona wciąż pieściła. Chcąc nie chcąc, musiała dbać o jego komfort. Gdy oczy wypłynęły całkowicie, szczytował.

– Ciało do ciała, usta do ust, i nigdy więcej nie smuć się już – śpiewała mu kojąco.

JEDNO

Piotr Leszczyński

Jesteśmy tym samym. Tym samym umysłem, tym samym ciałem. Przeczytałem to gdzieś, a może doszedłem do tego sam... nie pamiętam. Coraz mniej pamiętam. Wiem jednak, że myśl ta nachodzi mnie coraz częściej i kiedy zastanawiam się nad czymś dłużej, ona prędzej czy później wraca, zupełnie jakbym znajdował się na jej orbicie. Czasami brakuje mi siebie sprzed lat. Innym razem brak mi już cierpliwości, żeby dowiedzieć się, kim będę w przyszłości. Wtedy ta myśl daje mi motywację, żeby być tu i teraz – i szukać rozwiązań. Jedno już mam.

Przeglądam się jej od paru tygodni. Siada na ławeczce w parku, zawsze tej samej, koło nieczynnej fontanny. Sięga do torby, wyjmuje książkę, czasem zeszyt. Coś szkicuje, ale chyba z pamięci, bo nie patrzy wokół siebie, nie rzuca nawet krótkich spojrzeń na drzewa czy chmury. Trochę to dziwne, ale chyba ją rozumiem. Najciekawsze jest przecież to, co w środku, pod powierzchnią, w naszych głowach, żyłach, tchnieniach.

Nie wiem, ile ma lat, ale jest na pewno dużo młodsza ode mnie. Założę się, że chodzi do gimnazjum i pilnie się uczy. W jej wieku też się pilnie uczyłem, dużo czytałem i lubiłem przesiadywać w parku. Wydaje mi się, że mam z nią wiele wspólnego, odczuwam prawdziwą więź, pokrewieństwo dusz. Dlatego chcę, żeby to właśnie ona stała się tym samym.

Patrzę, jak jej drobne palce przewracają kartki książek. Ich okładki są zwykle owinięte szarym papierem lub folią – wypożycza je pewnie z biblioteki szkolnej. Podoba mi się, kiedy unosi lekko brwi, jakby zdumiona wydarzeniami z powieści czy opowiadania. Zastanawiam się, co może czytać. Pewnie Stendhala albo Coelho. Nie, raczej Patricię Cornwell. Albo Koontza. Trudno powiedzieć, niepozorny ubiór może jedynie maskować prawdziwą twarz dziewczyny i drzemiące w niej żądze. Może też jednak oznaczać tylko tyle, że jest wrażliwa, a czyta rzeczy ckiwe i lekkie – zupełnie jak jej wnętrze.

Kiedy odkłada czasem książkę na bok i przeciera szmateczką swoje okulary, widzę jej oczy. Przenikliwe, pełne skupienia i godności. Ma na imię Cecylia albo Zuzanna. Tak, to ten typ spojrzenia – Zuzanna.

Najbardziej lubię, jak marszczy czoło, kiedy rówieśnicy pytają ją o papierosa albo ogień. Chwilę patrzy, jakby oceniała, na jaką opryskliwość może sobie pozwolić, cedzi parę słów, rozkłada ręce i wraca wzrokiem do swojej lektury albo szkicu. Kiedyś zresztą upuściła w ten sposób szkicownik i miałem ochotę podejść bliżej, żeby zobaczyć, co rysuje. Zdołałem dostrzec tylko zarysy. Chyba portrety męskie.

Ciekawe, skąd bierze do nich inspiracje. Może chodzi na kurs rysunku. W trakcie zajęć nieśmiało lustruje atletyczne ciało modela, potem śni o nim, a kiedy budzi się w środku nocy, jest cała mokra i rozpalona. Żeby zasnąć, zaspokaja się swoimi smukłymi palcami. W ciągu dnia nie może odegnąć myśli, że mogłaby przeżyć pierwsze erotyczne uniesienia z tym mężczyzną. Napięcie seksualne przelewa na papier. Książki zaś idealnie dopełniają projekcje jej podświadomości. Drobiazgowo analizuje męskie gesty, zachowania i motywacje. Szuka dialogów, które najlepiej ujmują męski punkt widzenia, monologów wewnętrznych, które zdradzają tajniki męskiej mentalności. A gdy natrafia na sceny miłosne – drży z podniecenia i myśli tylko o tym, żeby wrócić do domu i jak najszybciej włożyć ręce pod kołdrę, kiedy rodzice już śpią. Tak bardzo ją rozumiem, tak chciałbym się do niej zbliżyć. Czuję, że ta chwila nadchodzi. Niedługo się poznamy, a wszelkie różnice zetrą się, by w końcu zniknąć zupełnie.

Był początek weekendu, przyszła do parku jak zwykle, kwadrans po trzeciej, zobaczyłem ją z okna, dlatego zszedłem szybko po schodach i w drodze ćwiczyłem słowa, jakie miałem powiedzieć. „Každy przecież początek, to tylko ciąg dalszy” – pomyślałem, że powinna znać ten fragment, on przełamie lody. Dzięki niemu miała zrozumieć, że nie jestem jednym z tych, którzy chcą papierosa czy zapalniczki. Potem miałem się przedstawić i podać rękę. Spuścić wzrok, zrobić prawą stopą kółko w żwirze przed ławką. Usiąść obok, zapytać, co czyta. Powiedzieć: „Zaraz, nie mów, niech zgadnę...”. Dalej nie ważne, miało jakoś pójść.

Kiedy zbliżałem się do ławki, zwolniłem kroku, jakby coś mnie tknęło, i zatrzymałem się koło dziewczyny.

– *Každy przecież początek, to tylko ciąg dalszy.* Nie mogę sobie przypomnieć... Kto to napisał? Wiesz może? – zapytałem z wyuczonym wahaniem.

– Miłość od pierwszego wejrzenia, Szymborska.

Jest początkiem i końcem: Ouroborosem, alefem, odbiciem w lustrze, drugą połówką. Mam jego mózg. Serce. Mam jego płuca. Biorę nóż do ręki i zabieram się za wątrobę.

Gdy zgłębiam najskrytsze zakamarki jego ciała, zaglądam w głąb siebie.

Jesteśmy tym samym.

Teraz i zawsze.

● ● ● ● ● ● ● ● ● ●